

ROCZNIK I. 1868. ZESZYT II.

BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Do poźna nikt się nie zjawił, nakoniec około północy Hela straciła nadzieję, ażeby gość ich miły mógł nadejść, widocznie coś przeszkodziło.

Trwożyła się nieco, ale pocieszała zarazem, że go jeszcze zobaczy, że wyjazd musiał być odwleczony, bo była pewna, że bez pożegnania nie odjedzie... a zatem dzień jeden zyskała.

Ksawerowa unikała rozmowy, była niespokojna i wylękła.

O północy zgaszono nareszcie światło; zaryglowawszy drzwi, kobiéty poszły modlić się i spoczywać... Hela jeszcze klęcząc u tapczanika nieskończyła była pacierzy, gdy wpośród ciszy, lekkie stukanie do okna sypialni słyszeć się dało... Zrazu przestraszyła się Ksawerowa, ale Hela przeczuła, wiedziała kto przyszedł, osłoniła się chustką i śmiało pobiegła do okna...

Noc była ciemna, rozeznała tylko postać stojącą u szyb, otuloną płaszczem... serce jej poznało w tym cieniu pana Tadeusza. Na zapytanie ciche, cichsza jeszcze odpowiedź potwierdziła domysł Heli... która żywo odsunęła połowę szyb... To poźne przyjście, podkradanie się do domku tajemnicze... nic nie zwiastowało dobrego... jego to pewnie we dnie szukano!

— A! to wy! — spytała niespokojnie — to wy! Myśmy przeczuwały, że coś złego stać się musiało! Dla czegoż tak poźno... mój Boże...

— Stało się — rzekł żywo pan Tadeusz — że nie mogłem was pożegnać, a natychmiast odjeżdżać muszę, koń stoi niedaleko... Ledwie mam czas rzucić słowo... Powtarzam, po Wielkiejnocy przybądźcie do Warszawy... o mnie, (nie wiem czy napisać będę mógł) o Tadeusza, dowiédźcie się u bankiera Kapostasa... dobrze zapamiętajcie to nazwisko...

Podał przez okno rękę Helenie, która mu drzącą dłoń wyciągnęła... Pocałował ją...

— Bądźcie panie zdrowe... bądźcie zdrowe... Bóg da... do zobaczenia w lepsze czasy, nie zapominajcie o mnie... ani chwili dłużej zostać nie mogę...

Cień znikł, Hela stała u okna jakby w nią piorun uderzył, odrętwiała... Na gościńcu głucho, zdala słychać było tentent koni, który powoli ciszej a ciszej ginął i nareście z wichru szumem się zlał w jedno... Matka na łokciu sparta patrzyła w ciemności... nie dosłyszała słów ostatnich. Zamknęło się okno, ale resztę nocy nie zmrużyły powiek, bo po gościńcu ciągle przebiegały wózki i konni, i gwar a wrzawa trwały do dnia.

XVII.

Nad rankiem dopiéro usnąć mogły strwożone kobiéty, i zbudziły się gdy słońce już było wysoko. Wypogodzone niebo zwiastowało jeden z rzadkich jesieni uśmiéchów; ale pogoda nie rozweseliła Xawerowéj i Heleny, którym samotność bez opieki, tęsknota po straconym gościu ciężyły. Czuły się teraz więcej niż kiedykolwiek opuszczone..

I mała Julka, która kochała bardzo pana Tadeusza, dąsała się na niego, że wyjechał, nie pożegnawszy jej nawet.

Było już około południa, gdy na drodze od dworu do miasteczka, ukazała się jakaś postać obca, rozpatrująca bacznie, jak gdyby właśnie chaty, w której kobiéty mieszkały — szukała. Byłto mężczyzna niemłody, świeżo snać przybyły, bo go jeszcze nigdy nie widziała Hela i Ksawerowa.

Twarz i postać miały w sobie coś wielce odrażającego, tak że postrzegłszy go zbliżającego się Hela z obawy zaryglowała drzwi, gdyż upornie krążył około domku, jakby wnijścia doń szukał.

Człek był wzrostu słusznego, ale mocno przygarbiony, z głową zwieszoną i wzrokiem od dołu, twarz miał przeciągniętą, chudą, żółtą, pomarszczoną, oczki małe a chytre i ruchawe, wygoloną czuprynę i wąsy szpakowate. Na głowie miał czapkę rogatywkę wynoszoną i pomiętą, buty długie czarne, zbłocone, i małą szabelkę jakby tylko dla proporcji u pasa przyczepioną.

I wzrok i chód i wyraz ust zaciśniętych silnie pod wąsami, tak że dwa fałdy z pod nich twarz mu przerzynały — budziły wstręt i obawę. Zdawał się czegoś szukać, czegoś domyślać, szedł nieśmiało, skradając się, badając miejscowość i przypatrując ścieżkom; oczy przymrużał, rozpatrywał się, szedł, powracał — nareszcie machnąwszy ręką, zbliżył się wprost do drzwi chaty, popróbował je otworzyć, a znalazłszy zamknięte, zapukał.

— Co to się i na wsi zamykają! — zawołał.

— Kto tam? — spytała Hela.

— E! kto tam! no! podróżny, który ma dwa słowa do powiedzenia.

Pomiędzy starą a Helą cichy się spór zawiązał: otworzyć mu czy nie — zdawało się, że bezpieczniej było odemknąć i zbyć się go prędko, niż niecierpliwić i trzymać na progu.

Hela odryglowała drzwi, nieznajomy się wsunął cicho, oczyma zaraz powiódł po wszystkich kątach, wzrok długo zatrzymał na pięknej twarzy, przeniknął nim aż do alkierza, i nim się odezwał, już oczyma niespokojnemi całą chatę splondrował.

— Niech będzie pochwalony — rzekł głosem ochrypłym.

— Na wieki! Czego pan żąda? — spytała Hela trzymając go w progu.

— Podróżny, podróżny — oś mi się złamała na drodze... reperują chłopi... no — ranek chłodny, toć wolno się ogrzać nieco...

— Wygodniejby było gdzieindziej, nieopodal gospoda — odpowiedziała Hela — u nas, ogień wygasł i wieje... a pan przecie szedł od dworu.

— No, tak! tak! — odrzekł podróżny posępnie wprost już siadając na ławie, choć wcale nie proszony.—Ale tu u waćpaństwa niegościnne progi... nigdzie po ludzku człowieka nie przyjmą... Co u licha! toć wam ciepła nie zabiorę, a powietrza nie wydycham.

Hela niechcąc z nim mówić dłużej, przesunęła się do alkierza, ale na miejsce jej weszła stara, którą podróżny skinieniem głowy powitał. I Ksawerowa i on przypatrywali się sobie wzajemnie, na obu twarzach widać było podziwienie, wstręt i przestrach w oczach kobiéty — oboje zdawali się poznawać, a jednak ani on ani ona, nie okazali tego po sobie. Nakoniec Ksawerowa się odezwała.

— Zkądże to pan Bóg prowadzi?

— Co tam asani pytać będziesz — odparł chmurno siedzący — nic się ciekawego nie dowiesz... No! podróżny! do trzysta djabłów oś mi pękła... spóźniłem się; — wszakże to Dobrochów?

— A Dobrochów — potwierdziła kobiéta.

— Któż tu mieszka we dworze...

— Ale pan idziesz ze dworu — jest Rządzca.

— A na plebanii?

— Ksiądz proboszcz.

— A tak! — miał podobno w tych dniach gości dosyć... hę?...

Ksawerowa powstrzymała się ostrożnie od wyraźnej odpowiedzi.

— Ja tam nic nie wiem...

— Nic nie wiem, nic nie wiem — kręcąc głową rzekł przybyły... aleć przecie z tych gości tu ktoś i u jejmości bywał wieczorami?

— Dajże mi waćpan pokój! Co to do was należy!—mruknęła kobiéta... Nikt u nas nie bywał i nie bywa.—Przybyły obejrzał się, targnął wąsa... udobruchał się niby, przybierając słodszą minę.

— To szkoda, że się nic od jejmości dowiedzieć nie można, bo proboszcza nie znalazłem... a przyjechałem właśnie w pilnej sprawie, dla widzenia się z tym... z tym... waćpani wiesz... to mój stary przyjaciel... do trzysta... Możecie mi otwarcie powiedzieć, gdzie go znaleść — pewno jeszcze nie wyjechał? Musi się gdzieś ukrywać? hę? mam do niego bardzo ważną sprawę... hę?

Stara milczała, przypadkiem wzrok jej padł na Helę stojącą we drzwiach alkierza, ta dawała jej znaki, aby się z czem nie wygadała — instynkt obie przestrzegał o niebezpieczeństwie. Ksawerowa nie potrzebowała nawet tego znaku, twarz i człowiek były jej zdawna pono znane. Ruszyła ramionami.

— Nie rozumiem do prawdy, o kogo to się pan pytasz — odpowiedziała — myśmy tu same, biedne i nikt u nas nie bywa, o nikim nie wiemy. Moglibyście się lepiej dowiedzieć we dworze...

Przybyły kręcił głową z miną jakąś szyderską.

— We dworze ich tam kto inny wypyta — rzekł... we dworze! Właśnie się tu o co u kogo dopytać można! do trzysta... Przecież ja do niego przybyłem.

— Do kogo? — spytała Ksawerowa.

— No! no! rozumiesz mnie waćpani, na co mam mówić — a kto go wie, jak się on tu nazwał! Człek w średnim wieku... szara węgierka, włos długi, nos zadarty... buty w kolana... no! toć wiecie... znam go... a i to wiem, że tu co wieczora chodził i do poźna przesiadywał...

Ksawerowa zmięszana nieco, usiłowała nie okazać tego po sobie, potrząsała głową.

— Ja tam o nim i o nikim nie wiem, u nas nie bywa nikt, ani wieczorem ani we dnie, dowiaduj się sobie jegomość gdzieindziej.

Kończyła te słowa, gdy się drzwi otworzyły i drugi mężczyzna pokazał na progu. Byłto ktoś ubrany z cudzoziemska, postawa wojskowa, wzrost ogromny, tak, że we drzwiach pochylić się musiał, twarz jakaś kałmucka... znać było w nim moskala przebranego.

— No — a co? wypytaliście? — spytał nie witając...

— Gadać nie chcą... — mruknął pierwszy — Wojskowy zwrócił się z surowym wyrazem twarzy do Ksawerowej.

— Co to, gadać nie chcą! nie chcą! jak to może być — one mi tu zaraz powiedzieć muszą...

Ksawerowa oburzona razem i przelękła cofnęła się ku drzwiom alkierza.

— Dajcież mi ichmość pokój! — krzyknęła, jesteśmy kobiéty, same... jak możecie nas tu nachodzić? to prawdziwie coś dziwnego...

— No! dziwnego! — rzekł drugi — a! dziwno czy nie, gadać potrzeba o co pytają! My wiemy kto tu bywał a może i jest... Nie miał on czasu zemknąć. Może go tu gdzie schowali...

Ksawerowa milcząc ruszyła ramionami i odwróciła jakby wyjść chciała; błysły oczy Kałmukowi, który zamierzał się pochwycić ją za rękę i przytrzymać, gdy ta z krzykiem wbiegła do alkierza, i kobiéty obie drzwi za sobą zaryglowały... Słychać było tylko płacz przestraszonego dziecięcia.

XVIII.

Z pierwszej izby dochodziła rozmowa dwóch nieznajomych, którzy się z sobą kłócić zdawali.

— No, coście zrobili — wołał pierwszy — czy teraz będziemy drzwi wybijać... jabym się był wszystkiego dobrym sposobem dowiedział. Wy zaraz po waszemu, po moskiewsku...

— Co ty mnie stary uczyć myślisz?— Potem ciszej umawiali się z sobą; niespokojne i wystraszone kobiéty stały w progu, nie wiedząc jak się wszystko skończy, gdy pierwszy przemówił znów głośniej — No idźcie sobie, idźcie — drzwi skrzypnęły i kobiétom wnoszącym z milczenia zdało się, że oba napastnicy wyjść musieli. Hela śmielsza wyjrzała.

Na ławie naprzeciwko drzwi, siedział ten, który wszedł pierwszy, zdając się oczekiwać... drugi był w istocie odszedł.

— Hej! Jejmościuniu, mościapanno! Do trzysta — odezwał się odchrzękując — nie bójta się... co u kata, nic się wam nie stanie... Myśmy tylko popytać chcieli, dobrym sposobem... Czy ten jegomość wyjechał czy jest... jabym dla jego własnego dobra potrzebował się z nim widziec. Do trzysta... dla niego sprawa gardłowa...

— Mówiłyśmy wam raz — przerwała Hela — nie wiemy nic — nie znamy nikogo, idźcie do dworu, gdzie chcecie, a dajcie nam pokój...

— Nic nie wiecie! — podchwycił siedzący na ławie, który tym czasem dobył flaszki z za pazuchy, napił się wódki, z kieszeni wyciągnął cebulę i zakąsił... Nic nie wiecie! a ja wiem, że to kłamstwo! Chodził on tu co wieczora, widzieli go ludzie, świadczy Abramek... Siadywał do północka koło jejmościanki... Stary babiarz... niepoprawny... Przecież ja mu tam zła nie życzę, ale interes pilny do trzysta... może się tu gdzie ukrywa, to powiedźcie, nic mu się nie stanie...

Hela nie odpowiadała.

— Jejmościuniu starsza— po chwili odezwał się siedzący na ławie, rozgarniając poły opończy i dobywając trzosika jedwabnego, w którym kilka talarów brzękało — jejmość powinnaś być rozumniejsza... U was tu widzę święta golizna... mógłbym wam ofiarować zapomogę, gdybyście mi dały informacyę i oszczędziły czasu... zapłacę a gadajcie...

Na to obelżywe zagadnienie odpowiedziano pogardliwém milczeniem; stary schowawszy trzos począł chodzić żywo po izbie i kląć.

Na stoliku leżał arkusz papieru... Przedostatniego wieczora pan Tadeusz, który lubił rysować, nakreślił na nim kilka twarzy, Ksawerowę, Julkę i siebie... Głowa ostatnia była bardzo podobną... Stary chodząc postrzegł papier, wpatrzył się, uśmiechnął i pochwycił go.

— Na co mi lepszych dowodów! — zawołał — to jego ręka, a to jego twarz!— O ho! teraz się trudno będzie zapierać, że tu był...

W chwili gdy jeszcze wpatrując się w rysunek trzymał arkusz w ręku, Hela rozpłomieniona gniewem wybiegła na środek i gwałtownie mu go wydarła...

Uczyniła to tak żywo, tak śmiało, twarz jej była tak straszna od gniewu i rozkazująca, że napastnik mimowolnie uległ wrażeniu jakiemuś przestrachu i cofnął się onieśmielony pomrukując...

— Panna się gniewa, a nie ma o co—rzekł pokorniej — o co mi chodziło to wiem, był tutaj... a reszta... panieneczko, to się już dopyta. Już ja teraz nie potrzebuję więcej... po niteczce, po maleńku wysznurkuję co mi trzeba... jeśli jeszcze tu gości, to ja się z nim zobaczę...

Bo — dodał — jeźli go macie na strychu, w piwnicy, pod łóżkiem... to nie wyjdzie teraz bez mojej wiadomości.

Co panna tak na mnie patrzysz, jakbyś mnie spiorunować chciała! ja się jej oczów nie zlęknę! Hej! hej! do trzysta... nie przez takiem ja przechodził, a babiego krzyku i pogróżek nigdym się nie uląkł...

Kłaniam się, kłaniam — rzekł schylając — do nóg upadam — przepraszam za natrętność!

To mówiąc i śmiejąc się sam do siebie powoli wysunął się za drzwi...

Hela stała zdrętwiała... z oczów jej łzy płynęły, pochwyciła papier, złożyła go i schowała na piersi.

XIX.

Po wyjściu napastnika nastąpiło długie, przykre milczenie, trzeba było biédne, przestraszone dziecko, Julkę płaczącą utulić; one obie nie wiele więcej miały odwagi nad nią. Hela była w rozpaczy, Ksawerowa w obawie, aby nie powrócili ci ludzie i nowych nie dopuścili się gwałtów... Można się było spodziewać poszukiwań w domu... a chore dziecię i tak już dość ucierpiało...

Ksawerowa miała wyjść i szukać jakiejś opieki we dworze, gdy znany głos rządzcy pana Tęborskiego, rozkazująco, z łajaniem począł się domagać drzwi otwarcia. Na łasce jego były sieroty, oprzeć mu się więc ani można pomyśleć; Hela pospieszyła odryglować i wpuścić nowego — nie gościa ale napastnika.

W tym charakterze tylko przychodził zwykle Tęborski, szukając do kobiet najrozmaitszych pretensij, ażeby im dojeść i dokuczyć. Dziedzic Dobrochowa litościwy pan, który dworku opuszczonego na mieszkanie im dozwolił — rozporządzeniem tem bez wiedzy wszechmocnego rządzcy uczynionem, naraził biédne kobiéty na jego zemstę i niechęć. Tęborski samowładny pan w dobrach, któremi pod niebytność dziedzica jak chciał zarządzał, zaraz w początku okazał się tém obrażony, iż dziedzic nie pytając go, śmiał w swych dobrach kogokolwiek umieścić... Posądził Ksawerowę, że przysłaną została aby go szpiegować, a Helę gorzéj jeszcze. Chcąc się ich pozbyć wyznaczył chatę niemieszkalną, pustą i wszelkiej pomocy odmówił. Na chwilę wprawdzie zmienił był taktykę i spróbował zalecać się do panny Heleny, posądzając ją o łaskę u dziedzica, którego wcale nie znała; ale odepchnięty dumnie, surowiej jeszcze zaczął się obchodzić z kobiétami. Jedynego opiekuna, który je nieco obraniał, i którego Tęborski szanować musiał choć go nie cierpiał, miały w starym proboszczu.— Ale to słaba była podpora.

Rządzca z proboszczem był w drażliwych stosunkach, unikano się wzajemnie. Pan Tęborski przykrości wyrządzał, patrzał okiem nieufném, i teraz gdy jacyś goście poczęli napływać do plebanii, zżymał się na to, usilując napróżno dowiedzieć, ktoby byli, posądzając księdza, że knował przeciwko niemu. Pobyt jakiegoś nieznajomego, który się zwał krewnym, a o którym bliższych szczegółów dowiedzieć się nie mógł, był mu też podejrzanym.

Tęborski wyglądał na tego kim był, miał fizijognomję swej przeszłości, ekonomską, typową. Krępy, przysadzisty, rumiany, lat średnich, zdrów, silny, miny zuchwałéj, nawykły do despotycznego obejścia z podwładnymi, nawet pragnąc być grzecznym, był nieznośnym.

Gdy mu otworzono wpadł czapki niezdejmując do pierwszej izby.

— Czego się tu zamykacie! — zawołał sapiąc — co to, ja — będę u was pode drzwiami czekał!

— Musiałyśmy się zamknąć — odpowiedziała Ksawerowa — bo nas tu od rana jacyś ludzie nachodzili...

— A przecie lubicie gości! — szydersko przerwał Tęborski — no to przyjmujcież! Ów krewniak księdza proboszcza przecie tu bywał co wieczora, a siadywał do rana...

Starsza ruszyła ramionami.

— Krewny ks. proboszcza! hę? — wołał rządzca — a cóż ci ichmość gorsi od niego? A wiecie — dodał krzykliwie, że to był człowiek podejrzany, że go szukają i łapią. Niedarmo od komendy moskiewskiej przysłali go tu śledzić... A ja za proboszcza i za was pokutować muszę! narażony na prześladowania moskiewskie... Czemużeście nie powiedziały tym co pytali, co o nim wiecie! Myślicie że ja za was pokutować będę i puszczę to płazem? że ja tu wam trzymać się daléj z waszymi przyjaciółmi pozwolę? Niedoczekanie. Niech sobie książę da w innych dobrach schronienie, a ja zmuszony ochraniać całości majątku, moskalom powodu do napaści dawać nie myślę... Wypędzę! Odpowiem za to! — wołał Tęborski unosząc się coraz bardziej — no, to odpowiem... a fora ze dwora!... Co moskale zrobią z proboszczem, to do mnie nie należy, jak sobie piwa nawarzył niech pije... Ja tu pod moją juryzdykcją na żadne spiski i konszachty i zjazdy nie pozwolę.

— Bo żadnych u nas nie było — odpowiedziała starsza — przecież schronienia od dészczu nikomu odmówić nie można... A że ktoś zaszedł pod nasz dach, my za to odpowiadać i karane być mamy?

— Wasz dach! — wybuchnął rządzca — wasz dach! jak wy śmiecie nazywać tę chatę waszą?

— Panie rządzco, pan nie masz litości...

— Mnie rozum potrzebny nie litość — przerwał Tęborski — co wy mnie tu uczyć myślicie... Jakem powiedział tak się stanie, do trzech dni was tu nogi nie będzie.

— Chyba nas siłą wyrzucicie — zawołała Ksawerowa.

— Myślicie, że się zlęknę? Wyrzucę! — wołał coraz głośniej rozgniewany rządzca... niech ksiądz proboszcz, wasz przyjaciel da wam schronienie. Dość już tego... Z waszej przyczyny ja cierpieć nie myślę i moskalom się narażać...

— Zreflektujże się jegomość! Z naszej przyczyny? — odpowiedziała kobiéta.

— No tak, z waszej... ten diabeł, kto go tam wie, jak się zowie, co go Moskwa szuka. Spędzał tu sobie słodkie

wieczorki! na gruncie pod moją juryzdykcyą! Przyszły rozkazy z Warszawy aby go aresztowano... A wiecie czem to pachnie... Albo muszę się grubo opłacić, albo spalą pałac, zniszczą wioski i postawią załogę, która mnie zje.

Asani mi zaraz powiesz, kto to był, kiedy i dokąd wyjechał, gdzie się ukrywa... albo nie, to do trzech dni, fora z dwora — precz...

— Nic panu nie powiemy, bo nie wiemy nic — występując naprzód śmiało odparła Hela, której oczy jaśniały gniewem zaledwie pohamować się dającym... Każesz nas waćpan wyrzucić — no — to pójdziemy choćby pieszo...

Tęborski rozjadły, szydersko zmierzył ją oczyma od stóp do głów.

— O! waćpanna kochanka nie wydasz... to ja wiem — rzekł śmiejąc się — ale ja kobiét podejrzanych, co po nocach ichmościów przyjmują, trzymać nie myślę... Pójdziecie sobie za nim...

Cała krwią oblana z gniewu Hela postąpiła krok ku niemu, brew jej była zmarszczona, czoło groźne, wargi pobladły, oczy ciskały płomieniami; z początku nie miała siły wyrzec słowa, rękę podniosła, wyciągnęła i wskazała na drzwi.

— Nim ty nas wypędzisz — krzyknęła — ja mam jeszcze prawo powiedzieć ci, ażebyś z tego domu, który nie tobieśmy winne, szedł natychmiast — precz! słyszysz! precz!

Tęborski takiem zuchwalstwem przestraszony, niemal rozwścieczony — pobladł...

— Tak! — krzyknął, podnosząc rękę — no to zobaczymy, kto z nas ztąd wyjdzie sromotniej... i nie za trzy dni, ale nim się dzień skończy...



Podał przez okno rękę Helenie, która mu drżącą dłoń wyciągnęła... (str. 41).

— Za godzinę nas tu nie będzie — odpowiedziała Hela. Idź waćpan, więcej z sobą do mówienia nie mamy.

Tęborski stał jeszcze, gniew nim miotał, pobiegł do drzwi i powrócił, chciał coś mówić, ale obie kobiéty pobiegły do płaczącej znowu Julki i drzwi alkierza zamknęły za sobą...

Potargawszy czuprynę, rządzca jeszcze parę razy przebiegł izdebkę, i rzucił się do drzwi.

— Mnie każe iść ztąd precz! mnie! precz! Znać rachują na czyjąś protekcję, no, to zobaczemy... i ja tu coś znaczę... Co będzie, to będzie... wyrzucę!

Nikt mu nie odpowiadał, wybiegł...

XX.

Kobiéty oburzone postępowaniem rządzcy, przestraszone jego pogróżkami, w parę godzin potem już się znajdowały w miasteczku, gdzie w nędznéj izdebce żydowskiéj tymczasowego szukały schronienia.

Ksawerowa płakała przypisując to nieszczęście po troszę zbytniej porywczości Heleny, ale uznawała sama, że bez ostatecznego upokorzenia pozostać w Dobrochowie nie mogły. Poczciwy stary proboszcz ksiądz Gruszka nadbiegł im w pomoc dowiedziawszy się o wypadku, i zaręczył gospodarzowi za biedne wygnanki, gdyż nieszczęśliwych wypędzonych przez rządzcę nikt przyjmować nie chciał. Obawiano się zarówno ich ubóstwa i zemsty pana Tęborskiego.

Stało się to tak prędko, że rządzca zajęty przyjmowaniem oddziału moskali, który przysłany był do Dobrochowa poszukując jakiegoś niebezpiecznego człowieka — nim się miał czas namyśleć co dalej począć, dowiedział się już przez stróża, iż pani Ksawerowa do miasteczka się wyniosła. Nie w smak mu to poszło, chociaż sam był wydał rozkaz — pospiech mu się nie podobał...

Przyszły po pierwszym gniewie uwagi różne, a żona zaklinała, aby się do ostateczności nie posuwał.

— Widzisz przecie — mówiła — co się dzieje w kraju — masz uszy a nie słyszysz! Wszakże się widocznie na coś zanosi przeciwko Moskalom... ty się tylko ich boisz, a swoi cię powiesić gotowi... moskale cię pewno nie obronią. Te kobiéty miały stosunki z ludźmi co coś potajemnie robią... za nie na tobie się mścić będą... Narażasz się! Szaleńcze! za grosz nie masz rozumu! I tak już psy na tobie wieszają, a dalej ciebie jak psa powieszą!

Pan Tęborski wysłuchał tej filipiki żoninej, zagroził jej, ofuknął, ale wziął do serca uwagę. Choć prędki i gniewny był on z rodzaju tych ludzi, co ze słabszymi zuchwale się obchodzą, ale poczuwszy najmniejsze niebezpieczeństwo truchleją... Obawiał się wszystkiego... zląkł więc i następstw swej porywczości... ale już było po czasie.

Dowiedziawszy się o tak szybkiem ustąpieniu kobiét, uczuł się wielce zaniepokojonym, rad był naprawić złe — nie wiedział jak się do tego wziąść, bo znowu z powagi urzędu spuścić nie chciał. Sądził, że mu się upokorzą, że go prosić będą, że wspaniałomyślnie mu przebaczą... tym czasem uszły... to dawało do myślenia, dowodząc niezależności i siły. Tęborski był zadumany i chmurny, choć rezonem nadrabiał. Uwagi żony i postrach miały ten dobry skutek, iż obawiając się więcej narazić tajemniczym konspiratorom, moskalom wcale pomagać nie myślał w dośledzaniu pobytu na probostwie owego podejrzanego jegomości, opłacił kapitana, upoił żołnierzy i na furmankach z niczem odprawił.

Stryczek, o którym mu żona wspomniała, czuł jak zimne koło opasujące szyję...

Radby też był odwołać rozkaz zbyt pospieszny co do Ksawerowej, gdyby najmniejsze o to zrobiła staranie— żona jego poszła nawet w tym celu do miasteczka, szepnąć parę słów proboszczowi... ale Ksawerowa podziękowała... Wybierając się i tak cokolwiek poźniej do Warszawy, wolała już raz wyrzucona dostać się tam co prędzej, ufając w opatrzność Bożą. Chore dziécię mogło tam przynajmniej znaleść troskliwą pomoc lekarską.

Tak się tedy wszystko złożyło do niewygodnej jesiennej podróży. Proboszcz sposobem pożyczki, nie od siebie ale od krewnego swojego pana Siechnowickiego, przyniósł dwadzieścia dukatów i zmusił do ich przyjęcia... Sprzęty niepotrzebne kupili żydzi i mieszczanie... Na trzeci dzień najęto żydowską brykę, spakowano resztki ubogiego mienia i biédne kobiéty pożegnawszy księdza Gruszkę a kilka życzliwszych im osób, w słotę i wicher powlokły się ku stolicy.

Trochę niespokojny poglądał na to Tęborski, ale nie mógł już poradzić nic; uprzedził tylko listem JW. dziedzica, iż się to stało mimo jego woli... przez kaprys i fantazją...

XXI.

W ostatecznej nędzy jak w nieuleczonej chorobie dziwne się rodzi uczucie w człowieku — zaczyna rachować nie na możliwe wypadki — ale na cuda i nadzwyczajności.

W szczęściu każda niespodziana rzecz jest straszną, w złej doli pragnie się czegoś dziwnego, jakichś wypadków niespodzianych, bo one — pogorszyć już nie mogą stanu— a na lepsze tak łatwo zmienićby potrafiły!

Groszem wydartym z łachmanów żebraczych utrzymują się loterje, szelągiem ubogich domy gry bogacieją, tak jak praktyką nieuleczonych a zrozpaczonych wsławiają się szarlatanowie... W społeczności normalnie się rozwijającej nikt nie liczy na przypadek... w rozstroju i katastrofie życie się często czepia najsłabszej nici — jest nieustanną huśtawką nad przepaścią.

W takim stanie ducha były właśnie kobiéty te po przybyciu do Warszawy. Zapasy ich przez dłuższą, niżeli się spodziewały podróż, znacznie zostały uszczuplone — sił i odwagi wiele pożarła ta męcząca włóczęga. Gdy się znalazły nareszcie u celu pożądanego wędrówki, musiały co najrychlej szukać ratunku, zajęcia… zabezpieczenia tego jutra, które groźne stało u drzwi.

Ksawerowa z dawniejszych jeszcze czasów miała znajomego i przyjaźnego sobie właściciela domu przy Bielańskiej ulicy, gdzie z mężem na drugiem piętrze mieszkali. Do niego naprzód udała się z zajazdu zaraz prosząc go o przytułek, aby w nim polepszenia bytu jakiegoś oczekiwać mogła. W długich rozmowach z Helą w czasie podróży, nabrała tego przekonania, że wiosna przyniesie z sobą… owego nieznajomego przyjaciela i spokój a dostatek.

Zacny mieszczanin miasta Warszawy, człek poczciwy, ale już okrąglejący i trochę łysy, wielce był życzliwym dla pani Ksawerowej przez pamięć na męża, z którym grywał w warcaby — był jednak właścicielem domu, ojcem familii i nauczył się żyć z jutrem. Serce może od otyłości zbytniej naciśnięte zmalało… Jednakże odmówić całkiem nie chciał, ani znowu zbytnio się poświęcać — i ofiarował parę izdebek od tyłu na trzeciem piętrze, które z małemi odmianami, prawie chatę w Dobrochowie przypominały.

Byłoto schronienie — wydziedziczonych od losu, które stało przez lat trzy niezajęte, bo najubożsi lokatorowie przestraszali się mroku, jaki w niem panował, i wyziewów podwórza, któremi oddychać było potrzeba.

A że ubodzy pracować muszą… tu zaś o południu często świécę zapalać było potrzeba, żaden rzemieślnik nająć nie mógł mieszkania. Okropne te zatęchłe, zimne, wilgotne izby, tę tylko miały dogodność, że za nie płacić z góry nic nie było potrzeba — a dom przypominał biednej wdowie lepsze czasy… jedyne chwile jaśniejsze, gdy wesoła z okna drugiego piętra wyglądała męża, który wracając z kancelaryi witał ją uśmiechem z daleka.

Hela jechała do Warszawy rachując w duchu na swego pana Tadeusza, chociaż wiedziała dodrze, iż przed wiosną się przybyć nie obiecywał… ale serce łudziło ją… zdawało się jej, że się dowié od kogoś, iż one tam są i... pospieszy. W ostatku choćby też przyszło dożyć, docierpieć do wiosny?

Ksawerowa i ona naprzemiany biegały, szukając dawnych znajomych, pracy, jakiegokolwiek zajęcia, Hela ofiarowała się nawet przyjąć służbę… Ale znajomi dawni dla ubogich są zawsze do odszukania trudni, praca nie przychodzi łatwo. Służba nie jest dostępną, gdy się nie ma nic za sobą… prócz zawsze podejrzanego ubóstwa. Dziedzic Dobrochowa, do którego się udać chciały — znajdował się od kilku miesięcy za granicą.

Z męztwem wielkiem, z pokorą i rezygnacją usiłowały obie spojrzeć oko w oko rozpaczliwemu losowi swemu — ale jak zwykle zamiast mu podołać znajdowały co krok nowe zawady i niespodziewane trudności.

Mała Julka, to ukochane dziécię, tak przedwcześnie dojrzałe, ulubienica matki i nadzieja, siostrzyczka droga Heli, która się do niej przywiązała namiętnie, płacąc jej gorące dla siebie uczucie — chora już w Dobrochowie, niewygodną drogą zmęczona, przybywszy do Warszawy, zapadła niebezpiecznie. Przywołano lekarza, który słabość uznał dosyć groźną choć nieokreśloną, przypisał leki, ostrożności, wygody — nie mogąc wchodzić w to, jak trudnemi były do wykonania dla ubogich ludzi.

Poświęcenie się matki i przybranej siostry, zwiększone jeszcze groźbą niebezpieczeństwa — zajaśniało w całym blasku. Obie, nie mówiąc o tem z sobą, skazały się milcząco na chléb i wodę, na największe ofiary, byle to dziecko ocalić, byle mu dać to wszystko, czegó stan jego wymagał. Mieniały się dniami i nocami u tego łóżeczka, wyprzedawały potajemnie ze wszystkich resztek biednego mienia i odzieży — by tylko Julce dostarczyć lekarstw, zdrowego pokarmu, zabawki. I to wchodziło w przepisy lekarza.

Był to widok przejmujący, ale niedostępny dla oczów ludzi — patrzał nań tylko ten, co wszystko widzi... Ocierająca się o nich garstka ludzi, nic dostrzedz nie mogła. Ksawerowa nawet nie wiedziała o całej rozciągłości ofiar Heli, która owe medalijony w złoto oprawne po Swobodzie, kazała prostą obciągnąć blaszką, aby ceną ramek lekarstwo Julki opłacić… Hela nie domyślała się też, dla czego złota obrączka, ostatnia po mężu pamiątka, znikła z palca wdowy… była w zastawie u żyda…

Cicho, milcząco pilnowały obie łóżeczka, w którem czarne, rozpalone gorączką oczy Julki świeciły im nadzieją, a usta zbladłe i spalone uśmiéchały się jeszcze.

Pomimo pozornej wesołości dziecka, matka miała przeczucie jakieś straszne, rozpacz jej była milcząca, zdrętwiała, kamienna… Heli niepokój rwał się i buntował przeciw uciskom losu… Szukała w głowie środków, miotała się, płakała, ale pomysły najświetniejsze, gdy przyszła urzeczywistnienia godzina, zwodziły ją wszystkie. A smutek potrzeba było ukrywać w sobie, żeby nim boleści matki nie zwiększać.

XXII.

Ksawerowa miała (jakeśmy mówili) przyrodną siostrę w Warszawie o lat kilkanaście od siebie młodszą, z którą od bardzo dawna zerwała była wszelkie stosunki—nie bez powodu.

Urodzona z jednego ojca ale z matki cudzoziemki, córki Włocha, cukiernika królewskiego Resanti; — na pół Włoszka, pół Polka, Betina została wychowaną cale inaczej niż siostra… Znały się z sobą mało… potem nie widywały wcale. Ulubiona dziadowi, który wiek spędził na zamku, a potem w cukierni założonej pod Krakowską bra-

mą, nadzwyczaj piękna, żywa, dowcipna, rozpieszczona od pieluch — Betina doszedłszy ledwie lat pietnastu, już była sławną w Warszawie. Przepowiadano jej różne losy, łatwo było odgadnąć, że bezkarnie nie wyjdzie z tego piekła, jakiem była społeczność ówczesna. Stało się jak prorokowano, padła ofiarą bogatego panicza, który ją wykradł, uwiózł, potém osadził w Warszawie chlubiąc się zdobyczą, a w lat parę porzucił.

Ten pierwszy krok w życiu naturalnie o całej jego przyszłości stanowi. Dziad byłby może przebaczył wnuczce, ale zgryziony zmarł właśnie w tym czasie, ojca śmierć poza nią, odbierała listy płomieniste, oświadczenia najtkliwsze, najkłamliwsze obietnice.

Zalotna, próżna bawiła się, nie bardzo opędzając wielbicielom. Ale szczérze po swojemu przywiązana była do lekkomyślnego człowieka, którego pokochała najpierwej... chociaż on widział w niéj tylko ładną a kosztowną zabawkę. Betina wierną mu została do końca. Łudziła się że to jej przywiązanie zmienić go, ustalić, zmiękczyć potrafi... ale rozpusta nie ma serca. Miłość jej prawdziwa rozbiła się o swawolę, o płochość człowieka wyziębłego, nie wierzącego w kobiétę, naigrawującego się z uczuć, któ-



Droga do Warszawy... (str. 47).

przedziła jeszcze, tak że Betina pozostała sama na Bożym świecie, młodą, piękną, płochą, zépsutą dwuletniem życiem zbytkowném i rozpustném z człowiekiem, który między swymi uchodził za najoryginalniej rozpasanego szaleńca. O taką sławę nie było naówczas łatwo.

Miała ona z tych czasów najrozliczniejsze stosunki, najświetniejsze znajomości, bo wojewodzic przyjmował męzkie towarzystwo wieczorami u Betiny. W domu jej bywały pierwsze ilustracje z epoki na tych wykwintnych kolacjach, których moda przyszła z Francji.

Betina już wówczas podobała się niejednemu, goniono remu już ciężyły te więzy, bo je chciał i zamierzał co najprędzej potargać. Brakło mu pozoru, ale w ostatku samo znużenie i kaprys wystarczyły.

Opuszczona nagle Betina przekonała się, że została uwiedzioną niegodnie, chłodno, a miłość, w którą wierzyła była tylko namiętności i próżności mieszaniną... chwila rozpaczy spaliła w niej resztki młodzieńczych uczuć poczciwych i wiary społecznej.

Z tej rozpaczy rzuciła się z goryczą, z ironią w życie najrozpasańsze.., ażeby dowieść temu człowiekowi, że i ona go nie kochała, że łzy nie uroni po nim. Sama z sobą

płakała gorzko, ale wśród ludzi udawała doskonale namiętną, sceptyczną, rozstrzepaną bachantkę...

Zwykłe to przejście w kobiétach nietylko Betinie podobnych, ale daleko od niej wyższych duchem, wykształ-

wstyd, gaśnie uczucie — zostaje czczość, która się zapełnia tém, co nigdy nasycić nie potrafi... szałem... A gdy szał nie uspokaja... gdy czarnym kirem pokryje się życie bez nadziei i bez jutra — naówczas rodzi się szyderska



Widok Łomnicy od strony południowej z doliny Spiskiej. (str. 57.)

ceniem i stanem. Katastrofy serdeczne kończą się klasztorem lub płochością... Gdy kobiéta przestaje wierzyć w serce, w przywiązanie człowieka... szuka pociechy w szałach, w upojeniu... i jest — na wieki zgubioną... Opuszcza ją

obojętność i chłód, który mówi sobie:

— Wszystko... zawodzi! rzucajmy człowiekiem jak zabawką... nie wart jest więcej.

Betina porzucona tak w swym pięknym apartamencie

na Krakowskiem — pozostała w nim z całym zbytkiem, który ją otaczał... Otworzyła salon... rozpromieniała humorem, elegancją, ironją, usiłowała młodzież przyciągnąć do siebie—rzuciła się na fale najburzliwszej egzystencyi—ale u progu zaraz tego nowego życia bez nadziei, bez jutra, postrzegła wielką zmianę w ludziach... kochanka wojewodzica była wielbioną, niemal szanowaną — porzucona przez niego, wolna, straciła część znaczną tego uroku, który ją otaczał...

Spadła o szczebel niżej; wczoraj była jeszcze *Mademoiselle Betina*, nazajutrz... *la Betina*. Z dość trafnym instynktem i bystrym umysłem poznała wprędce, iż się trzeba było pogodzić z tem położeniem, lub starać zdobyć świetniejsze. Zawrzała gniewem, wściekłością niemal, ale piękne jej czoło wypogodzone, nie pokazało po sobie tego, co krwawo przeszyło piersi... Spojrzała w źwierciadło, przekonała się, że młodość kwitła na licu, poprzysięgła zemstę i uśmiéchnęła się tylko. Życie pochwyciło ją i uniosło...

Przysięga została zapomniana wprędce, ale jak pieczęć gorąca, zostało po niej piętno niewidome, które się odbijało wszędzie i zawsze, w jej przywiązaniu, nienawiści, w przyjaźni i obojętności. Już nikogo kochać nie mogła, a każdy się jej zdawał nieprzyjacielem; obchodziła się z ludźmi czując w nich tylko zajadłych wrogów, przeciw którym każdy oręż był dobry. — Z tym chłodem i przewrotnością, która jej pewną wyższość dawała, Betina potrafiła sobie wyrobić stanowisko odrębne w ówczesnem zakulisowem społeczeństwie warszawskiem.

Wszystkie pamiętniki owéj epoki, wszyscy podróżni, którzy w ostatnich latach XVIII. wieku zwiedzali Warszawę, wzmiankują jako o rysie charakterystycznym owego zepsucia o tym tłumie kobiet dwuznacznych, niewidzialnych urzędowi, skrytych gdzieś w miasta głębinach, o których imieniu nikt w towarzystwie nie wspominał, do znajomości się ich nie przyznawał — a jednak w ich salonikach wytwornych najwybrańsze towarzystwo owego czasu znaczną część życia spędzało.

Inflantczyk ów (Schulze), który zostawił po sobie tak na nieszczęście żywy wizerunek Warszawy ostatniego dziesiątka wieku — rozwodzi się nad tą klasą kobiét, które zwyczaj i moda narzucały nawet ludziom poważnym, starcom bez namiętności i serca, skazanym na malowane kochanki.

Część znaczna Krakowskiego przedmieścia zajętą była przez te panie, których twarze i imiona znała cała stolica, przyjaciół mówiono sobie po cichu, a intrygi poboczne na dworze jako zabawkę podawano. Stopniowanie było wielkie... począwszy od tych, co świetnie za mąż wychodziły potem, aż do tych, co okryte różem i muszkami więdniejąc spadały aż w błota uliczne... Tężyzna ówczesna starała się o najpiękniejsze konie i najładniejsze twarzyczki, a że książe Józef dawał ton młodzieży, Tepperowie młodzi musieli kupować taranty i sprowadzać maseczki choćby z Paryża... Arystokracja bankierska nie chciała ustępować szlacheckiej... rujnowano się moralnie i materjalnie na wyprzódki — kto prędzej. A gdy kto wywrócił w przepaść koziołka, stojący na jej brzegu, śmieli się do rozpuku... (C. d. n.)

PRZY ŁUCZYWIE.

Ej — matulu — ja się boję!

— A czegoż to dziécię moje?

— Bo gdym wczoraj o tej porze
Był za kwitem tam we dworze,
To słyszałem, jak panowie
Powiadali w swej rozmowie,
Że na wiosnę — to najdalej,
Przyjdą jacyś tu Moskale,
Ludożerce — wilkołaki —
Co wygubią twór wszelaki...

— Ot — strach próżny cię owłada.
Alboż Moskal ludzi zjada?

— Toć ja tego nie wiem wcale,
Ale wy matulu wiecie;
Więc powiedźcież mi raz przecie,
Co to właśnie są — Moskale,
I zkąd biorą się na świecie?
Czy się lęgną — czy się rodzą,
Czy jak my po ziemi chodzą;
Czy jak wilcy lubią jary,
Czy to wodne są poczwary,
Czy skrzydlate — o łbach wielu
Jak smok niegdyś na Wawelu?
Gdyż koniecznie mi się zdaje,
Że to przecież jakieś dziwa;
Bo i dziad mój kiedy łaje,
To Moskalem mnie przezywa...

— Co ty pleciesz, jak w obłędzie!
Wszak to ludzie są, Wojtulu,
Tacy sami jak i wszędzie.

— E — to chyba żart, matulu!
Bo mówili tam we dworze,
Że to jakaś dzicz — niebożę —
Co morduje — niszczy — pali —
Wzbrania mowy nam i wiary,
Nawet domy boże wali,
A jakieś tam swoje Cary
Jak samego Boga chwali.
I o takiej wy paskudzie
Powiadacie, że to ludzie?
Nie, matulu, to — poczwary!

— Ha — toć prawda! Z woli nieba
Takie smutne nasze losy...
Lecz czyż przeto bać się trzeba?
Bojaźń wilka nie odgoni...
Na to mamy — dłoń i kosy!
A kto wiary swojej świętej,
Kto ojczyzny swej nie broni
Do ostatniej krwi kropelki: —
Ten — mój synu — zbrodzień wielki,
Ten będzie przeklęty!

— Ot to mądrość w waszém słowie!
Teraz już mi świta w głowie;
Teraz nie wiem już, co trwoga;
I jak tylko z łaski Boga
Drążek w ręku już uniosę,
To nabiję sobie kosę;
I niech wtedy rój Moskali,
Niech się piekło na nas zwali, —
Wasz syn, matko, się nie zlęknie!

— Tak, me dziecię — tak to pięknie!
I jak przyjdą już Moskale,
Sama kosę ci nastalę.

W Grudniu 1867.

FR. WALIGÓRSKI.

TATRY.

OBRAZEK GEOGRAFICZNY

PRZEZ

L. TATOMIRA.

Tatry! — Któż o nich nie czytał, nie słyszał, któż ich nie oglądał, jeżeli nie w naturze, to przynajmniej w pięknych widokach Głowackiego, albo w skromnych Stęczyńskiego rysunkach?!

Pocóż jeszcze o nich pisać, kiedy już tyle o nich się namówiono i napisano, i tyle opisów prawdziwych, a i nieprawdziwych także, ogłoszono drukiem — kiedy już tyle razy rysowano je, malowano i fotografowano nawet.

Badał przyrodę Tatrów uczony Staszic. Mierzył wysokość ich szczytów skalistych i opisywał umiejętnie ich wewnętrzną budowę Zejszner, a Berdau botaniczne po nich robił wycieczki. Opisał je treściwie i wiernie Pol, a żywo i obrazowo Tripplin, przeplatając swoim zwyczajem prawdę zmyśleniem. Wspomniała pięknie o Tatrach Rautenstrauchowa, a panna S..... pisała o nich trochę sentymentalnie. Nakoniec Janota obdarzył turystów wybornym przewodnikiem w wycieczkach do Tatrów, a Goszczyński w dzienniku podróży spisał z ujmującą, pełną barwy i uczucia prostotą wrażenia doznane na ich łonie i osnuł ich pochmurne czoła srebrną mgłą cudownej poezyi, a ich doliny, czarujące niewysłowionym urokiem, i dzikie, przepaściste wąwozy zaludnił fantastycznemi postaciami stworzonemi w Sobótce, częścią z podań ludowych Podhalan, częścią z własnej wyobraźni.

Zwiedzało też nasze Tatry w celu badania ich przyrody i wielu cudzoziemców, którzy złożyli rezultaty swych naukowych trudów w poważnych dziełach. Pielgrzymowało do nich wielu turystów zagranicznych, ogłaszając następnie w ulotnych artykułach lub w rozleglejszych opisach swoje wrażenia i przygody z podróży. Zwiedzali Tatry różnemi czasy Francuz Beudant, Anglik Townson, Szwed Wahlenberg, Czech Koristka, Niemcy Sydow, Hildebrand, Fuchs, i bardzo wielu innych cudzoziemców uczonych i nieuczonych.

I pocóż o nich jeszcze pisać? — poco po tylu pracach umiejętnych i gruntownych zapełniać szpalty poczciwej STRZECHY pobieżnym artykulikiem o Tatrach, w którym uczeni nie znajdą nic nowego, a nieuczeni nie doszukają się niczego zabawnego, i który — o zgrozo! — może pięknym czytelniczkom sprawi chwilę nudy.

Jestem bardzo uległym woli dam, a nawet ich kaprysom — jeżeli ten ostatni wyraz miałby obrazić, to go cofam; wszak i w parlamencie wolno cofnąć wyraz, który przypadkowo niepotrzebnie wymknie się z ust — więc ta

refleksya trochę mię zmieszała, tem bardziej, że wiem co to za okropna rzecz nudzić się, choćby tylko taką krótką chwilę, jaka potrzebna do przeczytania jednoarkuszowego artykułu. O uczonych mi nie chodzi; czy przy moim artykule zadrzymie sobie jegomość na sofie z poobiednią fajeczką w ustach równie smacznie jak przy innym, tem się także nie frasuję — ale na względach czytelniczek wiele, bardzo wiele mi zależy.

Więc ta refleksya powtarzam trochę mię zdekoncertowała i pociągnęła za sobą dalsze uwagi: zabieram miejsce, któreby zajęła może jaka powieść i to ciekawa, pełna scen efektowych i rozczulających ustępów. Krzywdzę panie— czuję to, boleję mocno nad tem, a jednak, przeprosiwszy za mój upor piękne czytelniczki i powiedziawszy, że dla nich właśnie piszę ten obrazek i że im bardzo do twarzy z tą chmurką gniewu na białem czole — będę pisał o Tatrach.

Dlaczego?

Dlatego, bo to najcudowniejsza kraina na całym obszarze ziemi naszej rodzinnej, a o tem co piękne i wielkie a do tego nasze, nigdy zawiele mówić i pisać nie można.

Powziąwszy w szczęśliwą czy nieszczęśliwą chwilę zamiar narzucania się z obrazkami różnych okolic ziemi naszej czytelnikom „STRZECHY,“ zdawało mi się najstosowniejszym wyborem rozpocząć szereg tych obrazków Tatrami, które „jak siwy gazda z otwartem sercem“ stanęły u proga starej Polski, a od ich stóp rozścielił się ku dwóm morzom „kraj nasz szeroki jak zastawiony dla gości stół.“

Rozłożywszy przed sobą kartę Europy, spostrzegamy na pierwszy rzut oka, że miazga suszy europejskiej dzieli się na dwie połowy wielce pomiędzy sobą się różniące.

Zachodnia połowa, mniejsza, ma wybrzeża bardzo rozmaicie wydzierzgane, gdyż morze wrzyna się wszędzie głębokiemi odnogami i zatokami w jej ląd stały. Powtóre cały prawie obszar tej części naszego kontynentu spiętrzają krzyżujące się w różnych kierunkach pasma gór, których główny niejako węzeł, najwyniośléjszy trzon tworzą Alpy.

Wschodnia połowa przeciwnie jest rozległą płaszczyzną, której południowe kończyny przypierają o dwa morza śródziemne, t. j. o morze Czarne i Kaspijskie, i o Kaukaz; północny rąbek zaś oblewa morze Lodowate, wkrawując się tylko w jednem miejscu morzem Białem cokolwiek głębiej w ląd stały. Od wschodu płaszczyzny tej części Europy wrastają całą szerokością swoją w olbrzymi tułuw północnej Azyi, oddzielając się odeń na północy Uralem a łącząc się z nim przeciwnie na południu przez tak zwaną Bramę Narodów pomiędzy cieklinami Uralu a wybrzeżem Kaspiku.

Bezpośrednie sąsiedztwo zachodniej części Europy z Oceanem wpływając na całą jej przyrodę, wpłynęło zarazem na rozwój dziejowy jej ludów, podczas kiedy na wschodnią Europę oddziaływała i oddziaływa zawsze Azya. Pod wpływem tych dwóch różnych potęg wyrobiły się w obu tych częściach Europy, różniących się pomiędzy sobą już tak wyraźnie układem swoim pionowym i poziomym, odmienne stosunki klimatyczne, przybrała roślinność odmienne cechy charakterystyczne, wytworzyły się odmienne warunki bytu ich mieszkańców, a temsamem i dzieje ich ludów odmiennemi poszły drogami, słowem powstały w Europie dwa różne światy.

Na pograniczu obu tych światów rozłożyły się Karpaty 110 mil długim łańcuchem, zatoczonym w kształt łuku od Dunaju koło Brzetysławy do Dunaju pod Rzową. Tworzą one jakoby ostatni, najdalej ku wschodowi wysunięty szaniec górzystego trzonu zachodniej Europy, i południowo-zachodniemi cieklinami swemi łączą się z główną jego warownią, z Alpami, przypierając na południowym wschodzie o przedgórza Bałkanu.

W samym środku prawie wielkiego łuku Karpat, w miejscu gdzie on najbardziej ku północy jest wydany, wzbiły się z pomiędzy pasm niższych gór do alpejskiej wysokości skaliste Tatry, jakoby główna baszta zbudowana na tym szańcu granicznym pomiędzy zachodnią a wschodnią Europą.

Takie jest, że tak powiem, europejskie stanowisko Tatrów. Podniosły one swoje granitowe czoło pod obłoki na tym obszarze, gdzie się ścierają ze sobą dwa światy naszego kontynentu i — mówiąc słowami poety — stoją

Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu,
By graniczny słup zuchwale!

W systemie gór Karpackich stanowią Tatry grupę centralną, główny skalisty trzon, osadzony na podstawie liczącej od wschodu ku zachodowi 7 do 8 mil, od północy ku południowi 2 do 3, a zajmującej obszar 14 mil kwdr., pomiędzy 37°10' a 38° wschodniej długości i pod 49°15' północnej szerokości. Odróżniają się też one od sąsiednich pasm i gałęzi Karpat tak zewnętrznem ukształtowaniem grzbietów i szczytów, jakoteż i wewnętrzną budową geologiczną, i odgraniczone są ze wszech stron rzekami i dolinami podłużnemi i poprzecznemi.

Na północnej stronie ścieli się u podnóża Tatrów *dolina Dunajców*, zwana także *Nowotarską*, a w części wyższej, odgraniczonej pasmem wapiennych skał, *Podhalem;* na północnym zachodzie *dolina Orawy*, na południu *Liptowska*, którą przepływa rzeka Waga, na południowym wschodzie nakoniec *dolina Spiska* zroszona Popradem. Od

zachodu i wschodu tworzą granicę Tatrów, tam poprzeczna dolina uchodzącej do Wagi Tepli, tu wyłom górski, poczynający się u przeczniczy Zdźjarskiej i łączący się przez takzwaną Kotlinę z doliną Popradu. Poprad i Dunajec uchodzą do Wisły a z nią do Bałtyku, i północno- i południowo-zachodni stok, z którego uprowadzają wszystkie wody Orawa i Waga Dunajem do morza Czarnego. Główny dział wód nie przypada tedy tutaj na



Jezioro w dolinie Koprowej na stronie południowej pod Mnichem. (str. 56.)

Pasma połogich płaskowyżów rozdzieliły cztery pierwsze wielkie doliny Podtatrza na dwa stoki: północno- i południowo-wschodni stok, którego wszystkie wody przez środkowe, wyniosłe grzbiety Tatrów, lecz na poniższe wzgórza u ich stóp, które nie przekraczając nigdzie 4200' wysokości nikną obok wysokich szczytów tatrzańskich.

Lesiste, niższe pasma Karpat otoczyły dokoła jakoby wałem owe doliny, tak że tylko dwie ich rzeki główne utworzywszy sobie wyłomy w tym wale, Dunajec na północy przez strome ściany Pionin pomiędzy Czorsztynem i Krościenkiem, a Waga na ujściu Orawy w południowo-zachodniej stronie przez Fatry, połączyły Podtatrze z równinami Polski i z doliną Dunaju.

W środku tych dolin górskich rozsiadły się Tatry i z podstawy wyniesionej w przecięciu do 3000' nad powierzchnię morza, wystrzeliły nagle w górę szczerbatemi szczytami, jakoby wyspa skalista, zasilając graniczne swe rzeki mnóstwem pomniejszych rzeczek i potoków, które począwszy się z wysoko położonych jezior alpejskich, płyną przepaścistemi łożyskami, przewalają się w wodospadach z szumem przez skały i rozszarpują lity pień gór w malownicze urwiska, wyłomy i wąwozy.

Geografowie nazywają Tatrami, w dziełach cudzoziemskich centralnemi Karpatami, w ściślejszem znaczeniu tylko wschodnią, wyniośléjszą i szerszą część tej grupy gór od zachodnich stoków Krywania do wschodnich stoków Łomnicy, w długości 4 mil, a w szerokości $2\frac{1}{2}$ do 3 mil od Schmeks na Spiżu do Jaworzyny i Zakopanego na północy. Jak długo Spiż należał do Polski obejmowały więc jej granice całe właściwe Tatry i tylko zachodnia niższa i wyższa ich część, w książkowej terminologii zwana przedgórzem alpejskiej krainy Tatrów, leżała w Węgrzech.

Tatry, zbudowane z granitu i innych skał pierwotnych wzbijają się do wysokości alpejskiej nad linię graniczną wieczystego śniegu i lodowców, która pod tą szerokością geograficzną przypada na wysokość 7849' n. p. m. Nie mają one jednakże właściwych lodowców, a to dlatego, ponieważ trzon ich zbyt małą w szerokość zajmuje przestrzeń, przez co na ich szczytach zbyt prostopadle wzbitych w górę, o które nieustannie rozbijają się ze wszech stron przeciwne prądy wiatrów, nie mogą długo utrzymać się śniegi i nie mogą sformować się lodowce. Tylko po zacisznych parowach i skalnych szczelinach tej olbrzymiej wietrznicy leżą płaty śniegu zlodowaciałego od zimy do zimy, a zdarza się często, że i wśród najgorętszych miesięcy lata spadną w Turniach śniegi i okryją je kilka stóp grubą warstwą.

Wspólne wyniesienie środkowego grzbietu Tatrów, t. j. litych i niepodzielonych jeszcze mas, sięga w przecięciu do wysokości 6500' n. p. m., zaś samotne nagie szczyty granitowe wzbijają się jeszcze o 1500' wyżej, a więc dochodzą do średniej wysokości 8000' n. p. m.

Grzbiet środkowy Tatrów odrzyna się wszędzie ostro i wyraźnie, i wytęża się krętą linią w głównym kierunku z zachodu ku wschodowi od Magury Orawskiej, Siwej Skały i Rohaczów, do Magury Spiskiej. Od tego głównego podłużnego grzbietu odrywają się ku południowi i północy grzbiety poprzeczne, również wyniosłe i skaliste, a bardziej jeszcze porozdzierane i podruzgotane niż grzbiet główny.

Cudzoziemscy badacze przyrody, którzy zwiedzali alpejską krainę Tatrów, zgadzają się wszyscy na to, że charakterystyczną jej cechą jest pustynność, przerażająca dzikość i takie gwałtowne, przepaściste poszarpanie litych skał, jak w żadnych innych górach europejskich. Podnoszą prócz tego jako właściwe tylko Tatrom znamiona: spiczastość i ostrość ich szczytów, podczas kiedy granit zwyczajnie w zaokrąglone wzbija się garby. Brak właściwych rozległejszych dolin górskich; wszystkie bowiem doliny tatrzańskie, szczególnie z południowego Podtatrza, wznoszą się na zastrzał, stromo prawie pod sam wierzch środkowego grzbietu, i nie rozwidlając się, podobne są do olbrzymich, przepaścistych wyłomów, o dnie nie przechodzącem prawie nigdzie 100 sążni szerokości, a zasypanem rumowiskiem skalnem i głazami w kształcie piętrzących się jedne nad drugie terasów, po których spadają potoki tatrzańskie w wspaniałych wodospadach. Ten brak rozległejszych, podłużnych i zaludnionych dolin, w które tak obfitują Alpy szwajcarskie, to zwarcie się ich skalistych stoków w poprzecznych głębokich wąwozach, nadaje właśnie tej całej krainie ową cechę pustynności i dzikości. Wyłączną cechą Tatrów jest prócz tego jeszcze: brak przedgórzów i nagłe, doraźne wzniesienie się skał do alpejskiej wysokości, szczególnie z południowych dolin Podtatrza; dalej zakończenie wszystkich dolin tatrzańskich w wyższych częściach lejkowatemi kotlinami, zalanemi wodami jezior; nakoniec brak właściwych lodowców, które w Alpach szwajcarskich o 4° bliżej ku równikowi jawią się już na wysokości 3900' a nawet 3100' n. p. m.

Taki jest ogólny obraz Tatrów.

Chciałbym teraz na te ogólne kontury rzucić trochę światła i cienia i trochę barw. Jestto zadanie bardzo trudne.

Obok żywych barw natury jakże blademi wydają się martwe barwy na papierze lub płótnie. Im cudniejsza okolica, im więcej tajemniczego uroku promienieje w jej obliczu, tem większego potrzeba artysty, aby potrafił pojąć ten urok, uczuć go w całej pełni, odtworzyć w duszy i przelać w obraz. A gdzieżto szukać tej ręki i tego pędzla, któreby potrafiły odkraść Tatrom tajemnicę ich piękności i oddać w obrazie ten wyraz olbrzymiej potęgi, piętnujący ich niebotyczne czoła, tę nieskończoną rozmaitość ich kształtów, tę grę światła i barw i te niezgłębione cienie, które zmieszane z tumanami mgieł otulają ich doliny i wąwozy i rozsnuwają się gazowemi obłoczkami po leśnej oponie okrywającej ich biodra? A cóż dopiero począć z piórem tutaj, gdzie pędzel barw dobrać nie może!

Prawdziwie nie poważyłbym się kusić o wykończenie w szczegółach rzuconych powyżej ogólnych rysów Tatrów, gdyby nie przychodził mi w pomoc artysta, którego oryginalnemi z natury zdjętemi szkicami ozdabia, nie szczędząc trudów i kosztów nakładca „STRZECHY“ mój artykuł, i gdybym nie liczył na bujną wyobraźnię moich łaskawach czytelniczek.

Odwołuję się tedy teraz przedewszystkiem do wyobraźni, do owej czarodziejki skrzydlatej, którą niezawodnie każda z pań ma na zawołanie, i jestem pewnym, że lubi bujać na jej tęczowych skrzydłach. O bo i któżby tego nie lubił! — Któżby nie lubił wplatać wstęgi rojeń i złudzeń w żelazny łańcuch codziennego życia, któżby nie lubił kwiatami marzeń rozweselać posępnego oblicza rzeczywistości, któżby nie lubił zuchwałemi podrywami wyobraźni krzyżować kałkułów zimnego rozsądku.

Puśćmy więc wodze tej nieprzyjaciółce rzeczywistości a piastunce serc zakochanych, oddajmy się marzeniom i wyobraźmy sobie, że stoimy na jakiemś wzgórzu wśród doliny Dunajców nad Poroninem naprzykład, zkąd właśnie zdjął artysta rysownik widok Tatrów, przedstawiony na trzeciej rycinie naszej.

Po nocnej burzy z piorunami i ulewą zeszedł poranek lipcowy, pogodny, jasny i wonny. Spłukane nocną ulewą drzewa, zioła i trawy połyskują brylantami kropel deszczowych w promieniach wschodzącego słońca, i występują przed nami w barwach odświeżonych jakoby w odświętnej szacie. Tylko Dunajec zmącił się, spienił, zżyma się i kipi i niesie głazy, które oberwał w gniewie kędyś z gór, i pnie drzew, które burza weń powaliła.

Przed nami na południu roztoczył się łańcuch Tatrów. Szczyty ich ubieliły śniegi, co spadły w Turniach podczas kiedy w dolinach lał deszcz strugami. Na lewo sterczy ostry szczyt *Murania*, na prawo zaokrąglony grzbiet *Osobity* zamyka nasz widnokrąg, w środku wspaniały *Giewont* wysunął naprzód szerokie czoło.

Nad *Muraniem* płonie jasne słońce, a jego promieniami draśnięte szczyty *Koszystej*, *Złotej*, *Królowych kop*, *Granatu*, *Kościelca*, *Świnnicy i Giewontu* iskrzą się jakoby w koronach dyamentowych i pławią się w tumanach mgieł. Spodem bowiem jeszcze wszystko okrywa mgła i przez jej opony nie przedarło się jeszcze światło dnia w parowy i doliny, drzemiące w mroku.

Powoli rozpędza słońce mgły; już tylko porozrywane ich smugi snują się po nad lasy i ścielą się wzdłuż wąwozów. Nareszcie odsłania się przed okiem naszym cały krajobraz, odkrywają się niższe upłaziste wzgórza u stóp sędziwych Turni i doliny *Olczysko*, *Bystrej*, *Jaworzyńska*, *Białej*, a nakoniec i urocza dolina *Kościelisko* u stóp *Pysznej*, gdzie się rodzi Czarny Dunajec.

Biodra Tatrów obrosły bory jodłowe, sosnowe i świerkowe, podszyte mnóstwem jagód leśnych i przyoblekły je jakoby szatą fałdzistą. Tworzą one niby cienisty przedsionek do tej olbrzymiej świątnicy przyrody, w którym szemrzą nieustannie tajemnicze modlitwy płynące po wąwozach potoki, i wtórują grzmiącym hymnom wodospadów.

Górale nazywają *Reglami* tę krainę leśną, stanowiącą jakoby najniższe piątro w niebotycznym gmachu Tatrów. Jestto główne źródłowisko wód tatrzańskich a siedziba niedźwiedzi, dzików, jeleni, głuszcza, cietrzewia i jarząbka.

Pożegnajmy teraz społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinach, porzućmy sioła i kołyszące się błogosławieństwem łany zbożowe, pomińmy ostatnie zgony owsa i lnu na wysokich polanach, i wstąpmy w tę ciemną gęstwinę borów tatrzańskich. Z niewysłowionym trudem krętemi ścieżkami, czyli jak je górale zowią *perciami*, pomiędzy milionami smukłych pni świerkowych, przedzieramy się na wysokość 4800‘ n. p. m. Tu już kończy się pas lasów, drzewa wysokopienne nikną, a grzbiety i zbocza gór okrywają same łąki, pstrzące się mnóstwem kwiecia i napawające wonią powietrze. Jedna tylko limba tatrzańska posuwa się wyżej w górę do 5100‘ n. p. m., gdzie już nie zasiewa się żadne inne drzewo wysokopienne. U stóp tej królowej roślinności tatrzańskiiej rosną tu ówdzie karłowate brzózki i ścielą się po nieprzejrzanych obszarach gałęzie kosodrzewu, splatając się miejscami w gąszcz nie do przybycia i pełzając w górę aż do wysokości 6000‘ przeszło.

Krainę tę limby i kosodrzewu, purpurowej goryczki, powojnika i pierwiosnka alpejskiego, ostróżki i nicennicy alpejskiej, pomornika i rododendronu, czyli jednem słowem roślinności alpejskiej, nazywają górale tatrzańscy *Halami*. Jestto kraina łąk, które obok boru stanowią jedyne bogactwo mieszkańca tych gór.

Toż latem gwarno i ludno na Halach; w bacówkach zamieszkują bacowie i juhasy, strzegąc stad owiec i bydła, któremi roją się łąki halskie, gdyż nawet z równin spędzają je tutaj letnią porą na wypas. Nie na długo jednakże tak się ożywiają Hale; już z końcem sierpnia bowiem zaczynają się tu mrozy i spada śnieg, który często leży aż do połowy czerwca, a bywają wypadki, że i w lipcu giną od nocnych mrozów małe jagnięta. Po pierwszym śniegu osamotniają się Hale i bacówki stają pustką.

Zwierz gruby unika latem tych łąk halskich, bo obecność człowieka wypłasza go w lasy i bory upłazistych niższych gór Regli. Tylko drapieżne ptactwo orły i sępy, gnieżdżące się po krańcach leśnego pasu, krążą po nad Halami, a po splotach kosodrzewu przelatuje siwarnik, mała ptaszyna podobna do wróbla, miłośniczka skał, która w ich szczelinach wyściela sobie z mchu i trawy gniazdka w sąsiedztwie podziemnych nór świstaków.

W końcach łąk halskich źwierciedlą się liczne jeziora, zwane *Morskiemi okami*. Zalały one głębokie kotliny i doły lejkowate, otoczone dokoła stromemi ścianami skał, a zro-

dziły je wody ze stopionych śniegów i ze źródeł, które w wyższej jeszcze tryskają krainie, albo wreszcie na dnie ich bijące źródła. Wody ich wpadają w barwę zieloną a czasem czarną, i stoją gładkie jakoby martwe, jeżeli się ich we wschodnio-południowej części tych gór, gdzie liczą około 60 szyb wodnych różnej wielkości, a pomiędzy temi są niektóre tak małe, że nie zasługują nawet na miano jezior i dlatego zowią je górale słusznie stawami.



Widok Tatrów od strony północnej z doliny Nowotarskiej od Poronina (str. 54.)

wiatr je nie wzruszy, lub zerwany kędyś u szczytu głaz nie zmarszczy kręgami lekkiej fali. Brzegów ich zasypanych odtokiem skał nie ożywia wodne ptactwo, dokoła panuje grobowa cisza, tylko wśród toni plusnie czasem pstrąg lub inna ryba i krążący pod obłokami orzeł skalny przejrzy się w źwierciedle wody. Dwa takie jeziorka tatrzańskie w dolinie Koprowej przedstawia druga nasza rycina.

Morskie oka naszych Tatrów należą do najwyżej położonych jezior alpejskich w Europie. Najwięcej rozlało

Do najczęściej zwiedzanych i opisywanych należy *Morskie oko* zwane *wielkiem jeziorem rybiem* położone na wysokości 4460' w wyższej części Hal doliny Białki. Jest to największe jezioro tatrzańskie, zajmuje bowiem obszar 56 morgów i 417 sążni kwadr. O kilkaset stóp wyżej na południowy wschód leży *Czarny staw* na wysokości 4985', a na zachód od tegoż w dolinie Roztoki rozlało się długim rzędem *Pięć stawów* na wyżynie 4966' wyniosłej. Dalej połyska kryształem *Biały staw i Zielone jezioro*, a dalej jeszcze w wiecznym prawie cieniu drzemie smutne

jezioro *Felka*. Obok ślni się źwierciadło *Czerwonego jeziora*, przezwanego tak od czerwoniawych głazów, które zasypały jego brzegi, a w głębokim lejku skalistym pośród złomów granitu, porastających w pręgi jaskrawo-żółtym mchem, rozlewa się *Żabie jezioro*. *Stawy Gąsienicowe i Smereczyńskie* zamykają ten łańcuch jezior tatrzańskich od zachodu.

Pozostawiając za sobą Hale z ich zaroślami kosodrzewu i źwierciadłami ók morskich, wspinamy się wyżej po skalistem urwisku, gdyż już na wysokości 6060‘ nikną kwieciste kobierce łąk i tylko nagie skały, po których lotem błyskawicy przeskakuje po nad przepaście dzika koza, bodą wzrok ostrem żebrem.

Jest to najwyższa kraina Tatrów, zwana *Turniami* — świat głazów granitowych, spiętrzonych jedne nad drugie niby labirynt jakichś gmachów Gigantów o powalonych ścianach i podruzgotanych wieżycach. Smutna to ojczyzna suchych mchów i porostów, kilku traw i skalnic, „kędy — jak pięknie powiada Kremer — poczyna się grobowe samowładztwo kamienia.“

Stanęliśmy wreszcie na wysokości 8342‘ n. p. m. na szczycie *Łomnicy*, której widok od strony południowej przedstawia pierwsza rycina nasza.



Ktoś ty? biesowska maro! — krzyknął... (str. 60.)

Na prawo i na lewo jak daleko sięga oko, zjeżył się przed nami las Turni, to zaostrzonych w iglice spiczaste, to szczerbatych jakoby piły, to wreszcie zasypanych złomiskami głazów, jakoby ruinami jakichś zamków starożytnych. Najwyżej wystrzeliły obok Łomnicy iglice *Gerlsdorfu* (8414‘), *Turni Lodowej* (8324‘), *Koszystej wielkiej* (8051‘) *Wysokiej* (8021‘) i *Krywania* (7913). Po pod ściany, tu ówdzie prawie prostopadłe, tych olbrzymów granitowych przeciągają chmury, zakrywają nam widok na doliny podtatrzańskie i miotane wiatrem igrają falami jakby oceanu wody, a pośród ich powodzi sterczą szare Turnie jak wyspy.

Wreszcie przedarły wiatry tu ówdzie chmury i tu ówdzie odkrył się przed okiem naszem w przepaści bezdennej płatami świat zielony. Chmury rozstępują się coraz szerzej, i coraz szerszy rozwija się widok; oglądamy jakoby mapę rozwiniętą na dnie otchłani całe kraje, przesnute srebrnemi nitkami rzek. Na południu rozścieliła się dolina Popradu i Wagu, a w dali sinieją Liptowskie góry, Fatry i Matry; na północnym rąbku widnokręga świeci stary Kraków; rozsypane miejscami ciemniejsze kresy znaczą smugi borów, a kropki i plamki bezkształtne to mieszkania ludzi, sioła i miasta.

Otoczyła nas śmiertelna cisza. „Od czasu do czasu słyszymy martwy, trupi łoskot; jest to skała granitowa, co urwawszy się z posady swojej, coraz chyżej pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach; porywa w swym polocie do okropnej podróży tłumy skalnych ułomów; góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem—i znów ucichło, znowu cała natura w koło oniemiała... Wszystko w głębi pozostało i życie ludzi, i ók morskich gromady, i kosodrzewiny i źwierzęta i rośliny, i trop dzikiej kozy, i gniazda tatrzańskich orłów i wszystko przepadło w toni głębokiej! Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim. Sąsiadujemy z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły nas sobą: tam ziemia gdzieś tonie pod nami, tu sklepi się bezdno błękitów niebieskich. Duch wiekuistości powiewa... wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrękowiny swoje z Bogiem.“

Od tej wzniosłej poezyi przeprowadza nas jedno maleńkie pytanie do najprozaiczniejszej prozy: „Jak ztąd zejść?“ — Fatalne to pytanie, które ostatecznie każdy zadać sobie musi, kto stoi na szczycie Łomnicy, ochłodzi jakoby mroźny powiew wiatru i najbardziej rozgorączkowanego

zachwyceniem turystę. Pod górę to jeszcze pół biedy, jakkolwiek już i w tej pielgrzymce musi się człowiek wyrzec owej wielkiej prerogatywy swego rodu patrzenia dumnie w górę z wzniesionem obliczem ku niebu, i chcąc nie chcąc musi nieraz naśladować czworonożne źwierzę— ale z góry stokroć gorzej!

Zadawałem sobie i ja raz w życiu to pytanie i rozwiązałem je w końcu tak, że kiedy po kilkugodzinnej przeprawie znalazłem sią w dolinie, sam sobie sprawy zdać nie mogłem z tego, jak się to stało. Bardzo opłakany stan ubrania, podrapane ręce, poobtłukane łokcie i kolana odbierały mi jednak wszelką chęć do powtórnej takiej wyprawy, a spojrzawszy po za siebie na drogę, którą przebyłem, czułem się niewymownie szczęśliwym, że jestem już nie na szczycie Łomnicy lecz u jej podnóża, i myjąc okrwawione ręce w potoku nie zazdrościłem bynajmniej w tej chwili orłowi, co ostrzył swój dziób o iglicę Łomnicy, tego sąsiedztwa z niebem, a marzyłem jak o najsłodszej roskoszy o — wygodnem łóżku. Ale sińce prędko przebolały, o przykrościach się zapomniało; w duszy, w sercu pozostało na wieki wrażenie niezatarte, pozostała niewygasła pamięć tej krótkiej chwili, w której głową moją nurzałem się w chmurach i żyłem życiem podniebnem orła!

Nam jednakże łatwiej pójdzie ten powrót do świata i ludzi — droga wyobraźni bardzo wygodna i prosta. Jesteśmy więc na dole znowu u stóp Tatrów; gdzie łaskawe czytelniczki rozkażą: albo w Szmeks na Spiżu, albo w Zakopanem w dolinie Dunajców.

Zwracamy raz jeszcze oczy poza siebie na Tatry, żegnamy je ostatniem spojrzeniem. Na ich szczytach spoczęły teraz wieczorne chmurki, a z za Murania wychyla księżyc w pełni pyzate oblicze i srebrzy wstęgi Dunajców.

„Spadające gwiady wzywają do snu“ — zagawędziliśmy się — więc żegnam panie na Podtatrzu słowem „do zobaczenia się,“ aby kiedyś powitać was znowu na stepie albo w puszczy.

W ALBUMIE
PANI B... d'E.......
7. CZERWCA 1866.

. . . .
Kto śmie płakać? kto się skarzy?
Komu płynie łza po twarzy?
Kto westchnieniem burzy ciszę?
Kto elegie ckliwe pisze?

To kryminał — to niegodnie!
To są podłości i zbrodnie...

Źle na świecie? A gdyś wchodził,
Czy u drzwi nie ostrzegano —
Po coś na ten świat się rodził?
Że masz chodzić w sercu z raną,
Ze łzą wieczną w spiekłém oku,
Z wiekuistą włócznią w boku...
I bez kajdan ani kroku...
Bez zawodu ani chwili —
Czyż w kolebce nie wróżyli?
Czy ksiądz, co cię przyjął w Bogu,
Nie namaścił cię na progu,
Na boleści i męczarnie?
Więc narzekać po co marnie?
Po co targać to co może
Zerwać tylko — słowo Boże —
Po co jęczeć? koniec blisko,
A jęk budzi pośmiewisko!

Co ci z tego że jak dziady,
Co u drzwi szpitalnych jęczą,
Będziesz ludzkiej żebrał rady
I że ludzie ci zaręczą,
Iż im bardzo żal — żeś głupi —
Któż jałmużną szczęście kupi?
Komuż litość zgoi ranę?
Na co anielstwa udane...
Kiedy szatan w sercu człeka
Siedzi jak w budzie — i szczeka.

Ucz się, ucz w Lacedemonie...
Zwierz się chłopcu wpił na łonie,
I żre mu i szarpie ciało...
On stoi i patrzy śmiało...
A usta uśmiech mu krzywi —
Jak on być musim — szczęśliwi —
Żeby wróg patrząc w twarz trupią
Nie urągał się, szyderca!
Niechaj nam serce wyłupią —
Nam żyć potrzeba — bez serca...

Zatnij usta — płacz we wnętrza...
Tem się boleść stanie świętsza...
Żółcią pój się twoją własną...
Ale twarz zachowaj jasną...

A gdy kto — Jak ci jest? — spyta,
Powiedz — szczęśliwym i kwita.

J. I. Kraszewski.

CZARTOWA GÓRA.

OPOWIEŚĆ KOZACKA

PRZEZ

PAULINA STACHURSKIEGO.

W naszej Ukrainie cuda! Co stąpisz, to czar! gdzie okiem rzucisz, to ci w duszy zagra taką błogością, że i raju nie trzeba! Wszystkiego bo szczodrze w naszej ziemi: czy piękna, czy dostatku; krasy wszelakiej a szczęśliwości nie przebierzesz! — cuda, taj koniec!

Było tego przed wieki, ta i po wiek zostanie; póki stepu, rzek naszych i mogił. Świat zjedziesz, a lepszego nie wyszukasz. Dadzą ci niebo, raj tobie dadzą, a drugiej Ukrainy i w niebie już nie ma!...

Są ludzie na świecie, którym smutek rzecz zdrożna; a my żyjemy tęskną dumą, i pusta wesołość nie przystała naszym licom. Nawet gdy hulaszczo zatoczymy kołem, to i wtedy więcej tam powagi, niźli u innych, gdy nad mądrem radzą. Bo nas sobie dziwnych porodziła ziemia, i zostać nam takimi po wieki!

Sokoły-mołodcy bratnie moje druhy! na tęskną nutę strojono nam serca, a duszy nie skąpiono bolu, i krwawe łzy mamy na obliczu... Hej, nie traćcieżbo wiary, zapadając w tuhę!

Zaświeci słońce w naszej Ukrainie! a gdy wola nastanie — wesoło wówczas będzie duszy stepowej i raźnie kozaczemu sercu.

Puhu! bracia. I wy tam z łuhu, i wy tu bliżej — ozwijcie się ku mnie! Sercem do serca i do dłoni dłonią — Hurah wola! hurah nasza dola! Wróg nas nie zmoże. Pohybel mu wieczysta i zatrata pohańcowi, a z nami mogił sława!

Nie wesoło i mnie na duszy, a serce zakipiało krwią męczeńską. Świeże mogiły przemawiają tęsknie, wiatr od stepu wieje, i przynosi jęki, a z nimi śmiech wrogów...

Nie śmiejcie się, ludomory! Godzina wasza nie daleka. Już tam w mogiłach Ukrainy gwarno... Niedługo wstaną mściciele, upomną się o wiekowe krzywdy, i Macierz nasza, Ukraina święta krwią obmyje plugastwo najezdzców.

Czekajmy bracia na wesołe gody; one nas nie miną! A zanim nasza nadejdzie godzina, zejdźmy do mogił, pogwarzyć z duchami. Tam krew, tam jęki, ale i sława wielka, sława, którą tylko Ukraina dziedziczy!

I.

Na skalistym brzegu rzeki Uszycy stoi zamek obronny, i ciekawie przegląda się w źwierciadlanej fali. U podnóża legła wioska — łany, łany bez końca, las i mogił wieniec, które tę ziemię poznaczyły sobą.

Zamek to sławnej rodziny Koreckich.

A nie tem sławnych, że są kniaziami z rodu, nie tem, że mają złota zasieki; ale że na nich nie ma łzy sierocej, że krzywda ludzka nie plami sławnego rodu; a jak zapamiętać tylko, nie na łożach puchowych, ale śmierć spotykała kniaziów wśród bitew z wrogami ziemi ich ojczystej. Tam do skarbu płynęło złoto rzekami; ale się nie zlewało w nieużyte morze, tylko było zdrojem, z którego czerpała nędza, czerpało nieszczęście i bieda.

Dusza Bogu, serce i głowa ojczyźnie, a mienie dla potrzebujących! — z tego słynęli Koreccy, a najbardziej kniaź Ostafi, ostatni z tej linji, co nie siedziała na Korcu wołyńskim.

Kniaź Ostafi miał mir wielki pomiędzy rycerstwem. Druh Sahajdacznego, z nim razem przebywał w obozach, i kroił kurty bisurmanom; aż ranny śmiertelnie omocniał w zamku — tylko do wojaczki niezdatny: lewą rękę zabrał mu Turek, a prawą obezwładniła kula, że ledwie-nie ledwie zdoła krzyż położyć na piersi, a szabli udźwignąć i wywinąć młyńca nie zduża; westchnie tylko, gdy obaczy drużkę, co mu tyle razy stawała w przygodzie, i głowę na piersi pochyli.

Smutne byłoby życie kniazia, gdyby nie cześć, jaką dawali mu ludzie, nie zasługa, co ją zdobył życiem rycerskiem; a najbardziej córka, którą mu Bóg chowa na pociechę, bo trzech synów oddał kniaź ojczyźnie.

A kniahynia to gdzieś córkę kąpała w lubystku i od mołodyka pożyczała krasy, gdy się zmywał rosą, — bo daleko — daleko nie było takiej krasawicy, jak księżniczka Ołena.

Jeszcze to było dzieciną, ponoś wiosny piętnastej, a kto ją ino obaczył — stawał z zadziwu, niby anioła ujrzał z nieba! bo istnym była aniołem i z krasy i z serca

dobroci, a dusza w niej była czysta jak wody źródeł naszych, jak niebo podolskie, gdy na niem żadnej chmurki nie ma, a tylko jasne słonko świeci na uciechę.

To wielkie szczęście, że wtedy było za bardzo wojenno, i co żyło z młodzi, w polu wyprawiało harce — a to traciliby głowy mołojcy! bo taka krasawica zabiera serce niby swoje, i tylkoby umrzeć zapatrzonemu w te błękitne oczy, w te usta z koralu.

A choć i jak było nie do kochania, bo pohaniec przygrzewał, że tam mu biesów trzysta! — przecie światem poszła sława o Olenie młodej, krasawicy dońce kniazia Ostafiego.

A najlepiej ponoś wiedział o tem Prokop Dżuryło, młody sotnik w Kozactwie, bodaj czy nie powinowaty kniazia, syn jego druha obozowego. Prokop wzrósł na kniażym dworze, i co dzień patrzył w liczko kniazkiej córki.

Toż to był kozak z tego Sotniczeńka!

Tam bies w nim chyba siedział — taki żwawy! Gdy wąs podkręci, a czarną brwią mrugnie — to dziewczęta, gdzie jaka żyje, giną za kozakiem! W tańcu i w zabawie wszelkiej nie masz po nad niego! do rozmowy z dziewczętami niby się urodził, taki składny; a posłuchaj jego rozmowy ze starszymi — tam statek, tam powaga wszelka, że dziwo siwej głowie!... a obacz go w polu: jak zatoczy wronym, a szabelką błyśnie, to niby snopy lecą bisurmańskie głowy i kłonią się sotnikowi Dżuryle. Chwat kozak, że w całej Ukrainie nie znaleść takiego!

Wiedział i ktoś drugi o krasawicy Olenie, i nie raz, zaczajony, tonął okiem w obliczu księżniczki, a w piersi grały mu nieczyste uczucia.

. . . .

Na zachód od kniaziowego zamku, jeszcze het przed dwudziestą laty założył swą siedzibę niemiecki rycerz, kędyś z za morza przybyły; a dziwnie go ludzie zwali, bo *Hansem grafem fon Rotkirk'em.*

Za Bóg wie tam jakie usługi król mu nadał ziemie na własność dziedziczną, i tu się graf okopał, wybudował zamek i osadził go niemieckim żołnierzem; a sam na nieznanych wędrówkach przebywając, tylko latem zjeżdżał do zamku, przesiadując w nim aż do zimy, z którą znów w obce kraje odjeżdżał.

Różnie tam prawiono o nowym dziedzicu i jego synu jedynaku, a dobrego nie wiele... tak, że ludzie wymijali zamek niemiecki, żegnając się odeń krzyżem św., bo ponoś tam namagano z nieczystym... Szczególniej z północy słychać było z zamku djabelskie jakieś wrzaski, i ogień niby piekielny buchał z narożnej wieży, zawieszonej nad przepaścią.

Niedługo tysiączne powieści zaczęły krążyć o niemieckim zamku; a skłonny do wiary w rzeczy nadprzyrodzone lud, nazwał go „Czartową górą“ i żegnając się omijał siedzibę grafa Rotkirka.

I kniaź nie bardzo dolubiał sąsiada; znajomości z nim nie zabierał żadnej, a gdy przerażona wielką łuną z Czartowej góry i tysiącznemi o niej powieściami kniahynia zachorowała obłożnie, i zamek chciała opuścić— kniaź Ostafi przykazał górę od zachodu zasadzić lasem, i zakrył niemieckie gniazdo, że tylko żółtą chorągiew było widno, co powiewała z głównej baszty Rotkirkowego zamku.

Od chwili jak las stanął przegrodą pomiędzy obu zamkami, uspokoiła się kniahynia, i mało było mówienia o Czartowej górze.

II.

Było to jakoś niedługo przed wojną z pohańcami. Szlachta bankietowała, wykrzykując na sejmikach; kozactwo tęskniło za wojennym tańcem, ale Sahajdaczny siedział spokojem... a gdy on siedzi, to i kozactwu nie pora na pochody.

W zamkowym ogrodzie, po nad rwiącą rzeką czy to młoda brzoza rozmawia z kaliną? Nie! to pan Dżuryło wiedzie rozhowor z jedynaczką kniazia Ostafiego.

Ładna para! Czy tylko nie za młodzi? może i nie znają co mowa serdeczna...

Ho-ho! spojrz tylko jak się słońce mieni w rzecznej fali; a w liczku młodej kniażny jakie tam kolory!... A zatnik? — To szczęście, że fala o skały pluchocze — zagłusza bicie kozaczego serca... Znają się oboje! bo młodym miłośnej nauki nie trzeba. Oko z okiem zestrzeli się w spojrzeniu, w piersi zaparzy gorącem, i na lica krasą wystąpi; serce zamrze przez chwilę, a poźniej wyskoczyćby chciało — ot i po wszystkiemu! Ani się młodzi opatrzą, a tu już chmurka osiada na czole, w sercu tęskno i lubo zarazem, a westchnienie goni dumkę o miłym.

Ponoś tak samo pokochali się i Prokop z Oleną. Stoją serdeczni, nad wodą; wzięli się za ręce, i milczą — a mówią wiele; nie patrzą — a dusza gdzieś do głębi widna. Cudne to kochanie dwojga młodych!

— Oleno! przemówił wreszcie kozak — gdy powrócę z wyprawy, czy przyjmiesz mię słowem serdecznem?...

Dziewczę pochyliło się na ramie miłego, i słodko patrzy mu w oczy...

Chciała przemówić; lecz słowa zamarły na ustach: o kroków parę padł strzał, i szkaradna, biesia postać wychyliła się z za skały, zielonemi oczyma patrząc na młodą parę.

Na ten widok dziewczę krzyknęło, tuląc się do kozaka, którego ręka mimowoli padła na rękojeść szabli.

— Przebaczcie piękna sąsiadko — przemówiła zagadkowa postać, uchylając kapelusza — zabiłem krogulca, który skradał się do gołąbki; bo ja krogulców nie cierpię! A to was przeraziło... — dodał, z szyderczym uśmiechem patrząc na kochanków.—Sotnik porwał się jak orzeł w locie.

— Ktoś ty? biesowska maro! — krzyknął.

Zielonookie widmo spojrzało nań z pogardą.

— Do widzenia, piękna sąsiadko! — Cha! cha! cha! — echo powtórzyło śmiech szatański, i mara znikła.

— Czy uroki! — wstrząsł się kozak — w biały dzień biesy włóczą się nad rzeką!...

— Pójdźmy do zamku — z trwogą rzekła księżniczka.

— A już też i czas wielki. Widzę sotnia w pogotowiu.

— Ale ty wrócisz do nas? Prokopie! — cicho ze drzeniem zapytało dziewczę.

— Wrócę, gołąbko moja! wrócę, gwiazdko świetlana!

Aż teraz wypowiedzieli młodzi, co im bies dopowiedzieć nie dał...

Za małą chwilę pan Sotnik pokłonił się wszystkim z wronego; karem okiem raz jeszcze sięgnął aż w głąb' duszy dziewczęcej; skinął na swoich i sotnia ruszyła.

Długo z zamku patrzano za kozakami.

A księżniczka to i we śnie widziała mołojców z Sotnikiem na przedzie, który Bóg wie, poco wziął ze sobą, serduszko młodej kniahyni. Przyszłaż mu ochota!... Niechby już sam odjechał; ale poco mu było brać serce?...

A gdy mołojec dziewicze serdeńko zabierze, to się to nigdy nie utai!

Tak też i z księżniczką. Nie je, nie sypia, wzdycha, płacze...

Ej, nie dobrze!

Ojciec z matką

— Co tobie? gołąbko! Co? zazulko! — pytają —

— Nic mi, nic, serdeczni! to tak...— A łezka niby perła, toczy się po liczku, westchnienie podnosi pierś młodą.

Nie tacyż bo to starzy, kniaź i kniahynia, by się nie domyślili prawdy!

Jak zaczęli pytać a wypytywać — tak się dowodnie pokazało, że pan Sotnik całkowicie zawrócił głowę dziewczynie.

Kniaź się zadumał, kniahynia zaczęła modlić się w duchu.

A księżniczka płacze, taj na licu z krasy spada.

— Ta cyt już, cyt zazulko! Bóg twojej niedoli nie zechce! — uspokaja matka swą donię.

— A jakże, Ostafi, co poradzimy naszej jagódce?

— A radźcie jak znacie! Nie umieli dopatrzeć, że sokół w pobliżu — płaczcież, że zabrał gołąbkę jak swoją!

— A kto sokoła hołubił? kto go w naszem gnieździe chował?...

— Ta jużci nie kto inny, jak ja — odpowiedział stary kniaź, nieco markotny. — Ależ bo to i kozak udały! Ot i teraz pisze mi Ataman, że tam cały djabeł z niego na wojnie, i nie chybi dorąbie się pułkownika. Przytem syn mego druha Ostapa.

— To możeby?... — i ucięła kniahynia, patrząc w siwe oczy mężowskie.

— Ta ono dla naszej przepióreczki, to i król nie za wiele; ale skoro go miłuje...

— Tak, tak! mój ty orle siwy; niech się młodzi pobiorą.

— A, niech Bóg szczęści! Komużby i oddać kniazką córkę, gdyby hordować takim chwatem... Ołeno!

. . . .

Co tam już było gdy córkę przywołali, to chyba nie mówić. Łzy, śmiech, radość i szczęście... kto zaznał — wie! a innemu żadne słowa nie pomogą.

Wesoło gdy słonko świeci, wesoło gdy ptaszki śpiewają — ale nigdy sercu, jak kiedy powiedzą:

— On twój — tyś jego!

Ołena zdrowa jak rybka; śpiewa niby ptaszę w gaju; kwieciem zdobi skronie, a rumieniec taki wybiegł na gładką twarzyczkę, że stolistna roża wstydliwie schowała kwiat pod liście, bo jej takiej krasie nie sprostać.

Wesoło w zamku, szczęśliwie; a nikt nie wie, że się gotuje ciężkie licho.

Zagrały trąby przed zamkową bramą. Straż żegna się krzyżem św., bo jak żyje takiego dziwa nie widziała.

Idą rajtary, halabardami zbrojni, z ogonami na głowie, skórą źwierząt pookrywani; na wielkich koniach, miedzią okuci, postępują wielkoludy; we środku cała z bronzu i szkieł buda, a w niej czy nieczysta siła! jakaś maszkara cała w złocie i kamieniach; a koło niej drugie zielonookie rude licho, także cudacko przystrojone.

Ledwie wyszli z podziwu, a tu wrzask orszaku:

— *Graf Hans von Rotkirk! Graf Fritz von Rotkirk!*

Dziwo, dziwo! Tyle lat nikt nie widział grafa, aż oto przyjeżdża do zamku w gościnę.

I kniaź Ostafi zdziwił się niemało; ale kazał prosić gości na pokoje.

Kniahynia na wieść o odwidzinach strasznego sąsiada zamknęła się z córką w dwudziestych komnatach, i trzech popów przywołać kazała, by odmawiali nabożne modlitwy.

Nie długo trwały odwidziny grafów.

Za małą godzinę widziano ich wychodzących z sali zamkowej gniewnych, że skry padały z ócz krwią nabiegłych, a klęli i wygrażali w swej djabelskiej mowie.

Kniaź Ostafi ledwie żywy w swem krześle; choć słabą ręką, a targa pas złotolity.

— On śmiał, knecht niemiecki! ten łaciński kuchta ważył się podnieść oko na ród Koreckich. Czy bies go opętał!...

— Mości gubernatorze! Podnieść most zwodowy, wykierować działa na drogę. Jak mi ta djabelska landara, z tymi tam pludrami, ukaże się na wystrzał — pal, żeby w proch poszła!... On śmiał, phi! on się poważył...

Bardzo się stary kniaź rozsierdził.

Wkrótce też wszyscy wiedzieli w zamku, że niemieckie grafy z Czartowej góry, radzi byli zabrać córkę kniaziów; ale że odjechali z harbuzem do swej djabelskiej siedziby.

Kniahynia aż zaniemogła na wieść o śmiałości sąsiadów, a księżniczka przyrzekła utkać Przeczystej złotą

w perły namitkę, że ją od szponów chroniła czartowskich.

Ale niebawem zapomniano w zamku o dziwnych odwidzinach; pan Sotnik zaś przysłał pokłon księstwu i wiadomość, że niebawem do nóg im upadnie.

A licho, siedmią wiatry, pędzi na zamek kniaziów.

III.

Sądny dzień był w siedzibie Rotkirków, gdy wrócili z rekuzą.

Djabelskie to jakieś państwo! tak się jeży, jakby Boga zjeść chciało, że nie poszło po ich myśli!

Hałas, krzyk, rwetes jak w piekle. Stary graf pjanę z ust toczy; młody ze złości strzela psy i konie, służbie kulami po nad uchem świszczy, że co żyje chowa się w nory przed gniewem zielonookiego grafa.

Długo w noc trwała narada w zamku niemieckim; mało wypito trunków, a krzyczano wiele, jak zwyczaj u niemieckich ludzi.

Grafa nie to bolało, że Koreckiej dla syna nie dostał, bo mu przyrzekł wszystkie Margarity i Hermendegildy z całych Niemiec sprowadzić do zamku; ale go biesiło jakieś niegrzeczne słowo kniazia Ostafiego. Toż kłął zemstę straszną całemu rodowi Koreckich za obrazę grafa von Rotkirka.

O świcie zapadło postanowienie: korzystając z czasów wojennych, prawem baronów, wpaść na zamek kniazia, złupić go, a córkę wziąść gwałtem za żonę grafa Fritza.

Stary graf rozesłał gońców w rozmaite strony, by mu zdali sprawę z tego co się dzieje, ażeby siła zbrojna nie pomieszała jego szyków; sam pozostał ze swym powiernym.

— Herman!

Wywiędły niemiec ukłonił się nisko.

— Czy ostatni transport poszedł?

— Poszedł.

— Wiele tam było?

— 200,000 hrabio. Franc je powiózł.

— Dobrze! To pewna, że mnie ten kniaź obraził; ale czy zemsta nie popsuje całej sprawy…

— Hrabio! Wszak taki sam zamek mamy na Węgrzech. W razie niebezpieczeństwa kuźnię wyrzucam w powietrze, a za tydzień mam nową w innym kraju.

— Słusznie. Zemsta więc! Upokorzę cię dumny kniaziu. Poznasz co to graf niemiecki!

. . . .

Już jesienno na dworze. Liście drzew pożółkłe, smutnie szeleszczą, kołysane chłodnym wiatrem; traw i kwiecia nie szczodrze na łąkach. A przecie ludziom i ten widok miły, i w tej tęsknicy znajdzie się oddech dla piersi.

Kniażna Ołena wybiegła do ogrodu.

Kwiaty powiędły; jasne słoneczko straciło na krasie. Smutno dziewczęciu: zaduma wbiegła na czoło, i ani wie księżniczka, że przyszła nad rzekę, w to miejsce, gdzie rozmawiała z Sotnikiem, gdzie…

— Jezus! — wykrzyknęła przerażona, ujrzawszy widmo kobiece, które ją wzięło za rękę.

— Nie bój się rybko, jasna panieneczko! Daj rączkę, niech ci dolę wypatrzę i wypowiem słowem, by wszystko jawnem było.

Ochłonęła księżniczka z przestrachu. Drzy jeszcze; lecz ją wielka ciekawość zbiera… bo i któraż dziewczyna nie rada by znać przyszłej swej doli, a jeszcze gdy kocha?…

Nie było długiego namysłu, i mała rączka księżniczki spoczęła w czarnej dłoni cyganki.

Stara wiedźma długo rozmyśla i siwą głową kręci.

— Sądzono ci szczęście i roskosz wszelaką, wiek długi i panowanie — zaczęła zwykłemi słowy wróżek, i ucięła, litośnie patrząc w oczy dziewczęcia.

— Mówcie, mówcie babuniu! Tu wam grosz bity, a dam więcej jeszcze.

Wróżka smutnie pokiwała głową.

— Nie dawaj gołąbko — rzekła — Srebra ni złota nie chcę, bo nie mam dla ciebie wesołej nowiny.

— Może nie żyje! — wykrzyknęło dziewczę, bladnąc jak chusta.

— Żyje, powróci. Ale kruk czarny zadławi gołąbkę, a sokoł smutny odleci. Więcej mnie o nic nie pytaj. Biada gołąbce, bo kruk się już skrada!..

— Nie wierzcie jej, księżniczko! — ozwał się w tej chwili głos z za skały, i ta sama zielonooka postać niemieckiego grafa stanęła przed dziewicą.

— Czarownica plecie jak na mękach! Wam szczęście sądzono. Ja was kocham księżniczko, i będziecie u mnie królową. W naszym skarbcu złota dużo, ja dam wam wielkie szczęście…

Wróżka znikła, jak pod ziemię poszła; a graf dalej prawi zalęknionej księżniczce:

— Ojciec odmówił mi waszej ręki, ale wy moją będziecie.

— Nigdy! — ocknęło się dziewczę, i z krzykiem jęło uciekać ku zamkowi.

Graf zatrzymał ją żelaznem ramieniem.

— Będziesz moją — rzekł — bo mi się podobasz! — i zielone ślepie, iskrzące djabelskim jakimś ogniem utopił w licu księżniczki.

Szczęście, że dworskie niewiasty nadbiegły w tej chwili, szukając panienki.

Zkamieniały trwogą.

Na szelest, graf wydobył pistolet; ale ujrzawszy niewiasty zaśmiał się szyderczo, i puścił z rąk Ołenę.

Księżniczka szepnęła cicho: „ratunku!“ i padła zemdlona.

Zielonooki graf znikł za skałami, i tylko echo odbija niemiecką jego śpiewkę.

Niewiasty rzuciły się do trzeźwienia młodej swej pani.

Księżniczka przeleżała tydzień w gorączce; a tymczasem w siedzibie grafów nie jedna rzecz bezbożna gotuje się na ludzką biedę.

Wysłani gońce przynieśli wiadomość, że wojna trwa w najlepsze, wojska nigdzie w około.

— Teraz pora! — zawołał stary graf, zawzięty na kniazia za niedobre słowo.

— Fritz! musimy pomścić zniewagę imienia Rotkirków! Weź sobie tę dziewkę.

. . . .

Hej niepoczciwe to plemie te rudowłose niemcy! Nie darem dusza kozacka znieść ich nie może.

Pokrzywemu poszła zemsta panów grafów.

Nie jak u nas: w dzień biały, z nagą szablą i piersią otwartą... ale ciemnej nocy wybrali się zbóje niemieckie. Głowy okryte blachami, odzież nie ludzka, i do tego zdradą weszli na zamek kniazia.

Kto stawił opór, tego zabito; innych powtrącali do lochów; a na salę wszedł stary Rotkirk z synem.

— Witaj kniaziu! — zawołał. — Czy po myśli niemieckie swaty?... Gdzie moja synowa? Nie chciałeś dać jej nam po woli, to ją zabierzemy siłą. Fritz! dalej za twą sarną!

Młody graf z drużyną rzucił się na dalsze pokoje.

Hej! gdzie ta siła bierze się w człowieku gdy wroga obaczy przed sobą?

Kniaź kaleka i już nad grobem, a ciężki pochwycił pistolet, i dobrze wycelił, bo graf jak długi upadł na kamienie posadzki, brząknąwszy miedzią, niby szeląg lichy.

Porwali się rajtary. Kniaź Ostafi padł przekłuty kilkoma dzidami; a zbóje rzucili się na ratunek grafa.

Nie zdechł odrazu sobaka. Łypnął biesowskiem okiem, zachrzypiał „Fritz!“ i oddał djabłu duszę.

W tej samej chwili, pod przewodem młodego grafa, siepacze przywlekli do sali opierających się: księżnę i córkę.

Nie mieli wielkiego zachodu; bo kniahynia gdy ujrzała trupa męża, przypadła mu na piersi, i nie wstała więcej.

Młody graf zadumał się głęboko; wreszcie skinął w milczeniu na swoich. Jedni wynieśli trupa grafa, drudzy omdlałą księżniczkę.

IV.

Przeminął miesiąc, jakby chwila. A dla młodej Oleny, to wiek cały. Ona w niewoli, zamknięta w najwyższej baszcie Rotkirkowego zamku. A w około ludzie niemego języka, serc głuchych kamiennie.... I dziewczę ledwie wie, że żyje.

O, żyje! bo co dzień wzdrygać się musi na widok szatana, zielonookiego grafa, co łaskaw, tylko dla żałoby po ojcu, nie idzie z księżniczką do ołtarza; ale zato czartowsko naigrawa się z boleści dziewicy.

— Piękna! czego płaczesz? — pyta — Z zaczerwienionem okiem możesz mi się niepodobać, a wtedy oddam cię rajtarom.

— Czarcie! — z pogardą spojrzała nań księżniczka.

— Taką cię lubię! — syknął graf, błysnąwszy okiem zielonem. — Będziesz Rotkirkową!

— Król i Atamany nic tu nie poradzą. Ojciec mój przewinił; ale już nie żyje; a ksiądz gdy raz stułą ręce zwiąże, wtedy za nic wszystko! W niedzielę kończę żałobę — w niedzielę pójdziesz do ołtarza.

— Do grobu, a ty w piekła czeluście, czarcie ohydny!

— W niedzielę z żoną odjeżdżam do Niemiec. Wiedz o tem piękna księżniczko — sucho rzekł hrabia, i wyszedł, własną ręką zamknąwszy żelazne drzwi więzienia.

— Boże! Boże!—jęknęła Olena, upadłszy przed obrazem Bogarodzicy.

. . . .

Wojna ma się ku schyłkowi. Za wolą Króla i pana Atamana wraca Sotnik Dżuryło z kozakami na Ukrainę. A śpieszno mu, bo to droga do miłej, droga do raju!

Haj-haj! jaka ta ludzka dola nie szczera. W zaraniu słonkiem ci zaświeci, a gdy się spodziewasz rajskiej wiosny — grad i pioruny zniszczą kwiaty życia... Nie dobra ta dola człowiecza!

Sotnikowi ani w myśli co się dzieje w zamku. On dumką wesołą wbiegł na znane komnaty: ściska nogi kniazia i kniahyni, do mężkiej piersi tuli wiotką kibić Oleny.

Dobrze mu tak śnić o szczęściu! I Sotnik marzy: zwiesił głowę na piersi, puścił cugle wronemu; a za nim chrobra drużyna postępuje lasem.

Na zakręcie koń Sotnika zastrzygł uchem, rozdął nozdrza ogniste, i chrapnął. Ocknął się Dżuryło. Przed nim baba czarownica.

— Daj, poworożu, sławny kozaczeńku! Byłam w zamku kniazia. Daj ruczku!

— Co się tam dzieje? — zapytał żywo Sotnik; a niespokój znać w jego twarzy.

— Zleciały się kruki — rozpoczęła wróżka — zburzyły gniazdo, i ptaszka w ich szponach. Śpiesz się sokole, bo kruk zadławi ptaszynę!...

Sotnik niedobrze zrozumiał ciemną mowę cyganki; ale sercem targnął ból straszliwego przeczucia, i kozak pomknął strzałą, a za nim nieodstępna Sotnia.

Wróżka smutnie kiwa głową, patrząc w ślad orłów stepowych.

. . . .

Strzałą leci pan Sotnik, wierne kozactwo za nim; a licha, co się już stało, nie wyminą. Przywitało ich zielone,

straszną wieścią o tem, co było w zamku kniazia, i straszniejszą, że dzisiaj graf Rotkirk uprowadza księżniczkę do Niemiec.

— Naprzód! — krzyknął Sotnik rozpaczliwie, i wierna szabla błysnęła w jego dłoni.

— Hurah! — odwtórzyli kozacy, i pędzą na Czartową górę, zagrać po swojemu.

A w zamku zła godzina dla młodej księżniczki.

Zielonooki graf otrzymał jakieś listy z Niemiec, i kazał służbie gotować się do wyjazdu na zawsze. Dzisiejszej nocy wyruszy, a nie wyjedzie bez żony.

Oj! ciężko biednej gołąbce! czy i Bóg o niej zapomniał?...

Żałośny jęk wyrwał się z piersi dziewicy, i nieszczęsna rzuca się ze stopni ołtarza.

Krew pociekła po marmurze, z czaszki mózg prysnął — księżniczka nie żyła!

A w tej chwili ozwały się liczne strzały w podwórzu zamkowem, i jak anioł mściciel, na czele kozaków, wpadł Sotnik do kościoła. Trupami wysłał drogę do ołtarza, i obaczył — trupa. Daremna że Sotnik, że rycerz chorobry — a zapłakał jak małe dziecię, i szabla wypadła mu z dłoni.

Nie słyszy i nie widzi co się w koło niego dzieje; przed kozakiem trup jego miłej; jej rękę trzyma w swej dłoni, i cicho szepcze: „Ołeno!“ jakby ją ze snu chciał obudzić.



Kniaź Ostafi padł przekłuty kilkoma dzidami... (str. 63.)

Gwałtem przyprowadzono wybladłą do zamkowej kaplicy. Płatny ksiądz niemiecki czeka ją na wysokich stopniach ołtarza.

Zielonooki graf, z szyderczym uśmiechem, podał rękę narzeczonej.

Nad omdlałą przeczytano słowa przysięgi; a gdy Ołena przyszła nieco do siebie, jak grom uderzył ją wykrzyk służby zamkowej:

— Niech żyje grafini von Rotkirk!

— Już się stało! — wycedził graf zwolna. — Witam cię grafini!

Rozpacz nie zwykła wybierać rodzaju śmierci.

Twardy to sen, kozacze! Żebyś ty nim mógł zasnąć!..

Kozacy sami uporali się ze zbójami. Graf Fritz von Rotkirk powisnął na chorągiewnej żerdzi najwyższej baszty zamkowej; nieco niżej dziesiątek jego powierników.

Hermana złapali mołojcy w lochu, gdy lont przykładał do prochowej miny, by szatańską kuźnię wyrzucić w powietrze. Sam poszedł do piekła; a kozacy nie tknęli stosów pieniędzy, co leżały w tych piecach — i dobrze zrobili, bo były fałszywe.

Jasną świeczką zapałał zamek niemiecki; ostatni w zgliszcza upadł trup zielonookiego grafa von Rotkirk.

Ołenę pogrzebano obok rodziców; a Sotnika, niby małe dziecię, wzięli kozacy pomiędzy siebie, i hołubili sierotę.

W lat kilka pułkownik Dżuryło poległ sławną śmiercią w bitwie z wrogami, i do dziś widna jego mogiła na stepowej równinie. A nad skalistym brzegiem Uszycy jeszcze znać ruiny niemieckiego zamku; lecz nie ma śmiałka, któryby się poważył wyjść na Czartową górę.

Byli tacy, co chcieli dostać się do złota, leżącego tam kupami; ale im did'ko głowy poukręcał i trupy wrzucił do rzeki.

To zaś szczera prawda, że o św. Janie wielki płomień bucha ze zwaliska, słychać hałas straszliwy i stuk ciężkich młotów. Wtedy Rotkirki robią czartu pieniądze, by niemi świat prowadził do zguby. Późną jesienią przerażają podróżnych straszliwe jęki, świst i wycie. Dwa kościotrupy latają nagie nad górą; a niekiedy przemknie się duch dziewicy w białych chustach.

To dusza Ołeny i pokutujących grafów.



...a zapłakał jak małe dziecię, i szabla wypadła mu z dłoni... (str. 64.)

ŚLUB KRÓLEWSKI.

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE.

Najnieszczęśliwszem dla Polski było panowanie Jana Kazimierza. Morze klęsk wylało się na kraj strapiony. Nieustanne wojny i idące wraz z wojną klęski pomoru i pożogi szerzyły zniszczenie powszechne. Napróżno król, szczerze ojczyznę miłujący, i królowa Marja Ludwika, równą miłością ku Polsce przejęta, niewiasta dzielnego ducha i wielkiego rozumu, wszelkich dokładali starań aby zażegnać ze wszech stron gromadzące się burze i rozpędzić piorunami ciężarne chmury. Srodze bolał Jan Kazimierz nad losem kraju. Większą część panowania swego przepędził jako żołnierz i tułacz po wszystkich stronach kraju. Z szablą w dłoni, nie szczędząc własnej osoby, nie unikając grożących niebezpieczeństw, narażał on pierś własną niejednokrotnie, na czele szeregów walczących w obronie ojczyzny. Nie był to bohater — ale po bohatersku umiał znosić trudy wojenne i gorzkie panowania swojego losy.

Najstraszniejszą, bo najdłużej trwającą i najwięcej szerzącą zniszczenia na całym obszarze Wielko- i Mało-Polski, na Mazowszu i Rusi Czerwonej, była wojna szwedzka

spowodowana najazdem Karola Gustawa, i przez lat sześć niemal z rozmaitem prowadzona szczęściem. Uchodzić przed najeźdźcą musiał Jan Kazimierz na Szląsk, i z rozdartem sercem przez łzy patrzéć na pożar Krakowa, starej Piastów i Jagiellonów stolicy, której obronić nie był w stanie. Nie długo jednakowoż przebywał Jan Kazimierz na szląskiem swem tułactwie. Pierwszą bowiem zawsze myślą jego była myśl o kraju i o oswobodzeniu ojczyzny z pod obcego najazdu. Skoro więc nadeszła do Opola, gdzie król przebywał, wieść o zawiązaniu się konfederacyi Tyszowieckiej, której duszą był wielki Stefan Czarniecki, król wsiadł na koń dnia 18. Grudnia 1655 i z małym przybocznym hufcem ruszył w podróż, a okrążając obsadzony Szwedami Kraków, po nad granicę węgierską, przepędził w drodze święta Bożego Narodzenia i na Nowy Rok stanął w Łańcucie, gdzie dłuższy czas zabawiwszy, przybył z końcem stycznia do Lwowa.

Wraz z zawiązaniem się konfederacyi Tyszowieckiej i za powrotem króla przechyliło się stanowczo szczęście na stronę oręża polskiego, i zdało się nawet, że wkrótce już można się kresu nieszczęsnej wojny spodziewać. Ruszył się naród do broni i kto żyw imał za oręż. Duchem i przykładem Czarnieckiego zagrzane wojsko szło z zapałem do walki z obcym najeźdźcą, hetmani ponowili przysięgę wierności królowi; wszyscy odwracali się od Szweda i spieszyli pod chorągwie Rzeczypospolitej. Wyparty przez Czarnieckiego z Mazowsza cofał się Karol Gustaw przez Tomaszów ku Przemyślowi, a ztamtąd osaczony nieustanną pogonią wojsk polskich, lewym brzegiem Sanu, ku Sandomierzowi, gdzie jak się zdawało ostateczną miano mu zadać klęskę.

Chwilowo rozjaśnił się nieco widokrąg, na którym jednakowoż nowe ze wszech stron gromadziły się burze. Był to jakby przelotny uśmiech słońca, w dniu słotnym przez chmury przebłyskującego. Pobożny Jan Kazimierz tak klęski jak powodzenie do wyższych odnosił przyczyn; a szląc dzięki Najwyższemu Panu za doznane zwycięstwa, rozpamiętywał nad źródłem owych klęsk ciężkich, nad któremi bolał serdecznie. I widział butę możnych, przechodzącą wszelką miarę, i widział ucisk ludu pozbawionego praw wszelkich. i uciemiężonego, oddanego na łaskę znęcającej się nad nim swawoli możnowładców. Gasły w Polsce cnoty patryarchalne, rozrywał się węzeł, łączący niegdyś przyjaźnie wszystkie warstwy narodu, a stan szlachecki, podgartujący coraz bardziej dla siebie wyłącznie wszystkie swobody i przywileje, mieniący się jedynym przedstawicielem narodu, popadał w ciemnotę i swawolę, wiodąc ojczyznę nad przepaść nieochybnej zguby. Widział król, w głębokiej boleści swojej jakby proroczym obdarzony duchem, że podniesienie i utrwalenie potęgi narodu leży w zabezpieczeniu praw ludu, w podniesieniu go do godności obywatelskiej i rozżarzeniu tym sposobem w piersi jego nieugaszonego ognia miłości ojczyzny i niepodległości. Proroczem niejako obdarzony widzeniem dopatrzył król Jan Kazimierz rany, co się krwawiła wewnątrz narodowego organizmu, dotarł do tej choroby, co zaniedbana, sprowadzić miała w końcu przepowiedziany przezeń upadek. I powziął ów król nieszczęśliwy a serdecznie miłujący ojczyznę, wielki zamiar położenia węgielnego kamienia odrodzenia Polski usamowolnieniem ludu, i stworzeniem przez to potęgi narodowej, której nic złamać, ni skruszyć, której nic już nigdy zagrozićby nie zdołało. I postanowił powierzyć kraj opiece i obronie Najświętszej Panny, obierając ją za patronkę i królowę Polski.

Dzień pierwszy kwietnia 1656, przeznaczył król na złożenie owego ślubu w katedrze Lwowskiej. Wielka to była uroczystość dla Lwowa, wielka też i dla Polski całej, gdy pierwsze słowo wolności ludu wyrzeczone być miało. W skarbnicy wielkich pamiątek i zdarzeń, obrzęd ten pozostanie pamiętną chwilą w rozwoju dziejów naszych.

Otoczony licznym pocztem senatorów duchownych i świeckich, dostojników Rzeczypospolitej, magnatów i szlachty, zjechał król Jan Kazimierz dnia tego z rana do kościoła archikatedralnego. Odmiennie wówczas wyglądała katedra Lwowska, w ścieśnionej przestrzeni otoczona oparkanionym smętarzem, na którym pięć kaplic cisnęło się do boku gotyckich murów świątyni. Jedna tylko najpiękniejsza z nich fundacji Boimów, kaplica ogrojcowa, istnieje dotąd, u wschodniej strony kościoła. Od zachodu, gdzie główne wejście, ciągnący się podówczas tuż w pobliżu kościoła mur forteczny, od furty jezuickiej ku dzisiejszej ulicy wałowej, zacieśniał jeszcze bardziej obszar, zapełniony w owym dniu kolasami panów, rycerskiemi pocztami w najrozmaitszych lśniących od złota strojach, wreszcie wielotysięcznym ludem ruskich ziem stolicy, spieszącym jak zwykle w podobnych razach tłumnie dla przypatrzenia się świetnemu widowisku.

I wewnątrz inaczej niżeli dziś wyglądała wówczas katedra Lwowska. Szaro pobielone ciemniały łuki smukłych kolumn gotyckich; przeszło dwieście rozmaitych pomników i nagrobków, przy późniejszej restauracji kościoła uprzątnionych, zacieśniało całe jego wnętrze, zapełnione w dniu owym tak licznym orszakiem senatorów i rycerstwa, iż z trudnością w ciasnym obrębie kościoła pomieścić się mogli.

Nuncjusz papieski zaintonował mszę śpiewaną. Ozwała się wspaniała muzyka, poważnym echem rozlegająca się śród ścian świątyni. Król Jan Kazimierz leżał krzyżem przed wielkim ołtarzem, gorące szląc modły, ażeby mu Najwyższy dozwolił spełnić zamiar powzięty wespół i za zgodą rady senatorskiej, a po odczytaniu Ewangelji św. przed podniesieniem, król powstawszy śród uroczystej ciszy złożył w ręce Nuncjusza ślub w następujących sło-

wach, które za nim wszyscy senatorowie dla utwierdzenia wagi ślubu królewskiego jednogłośnie powtarzali:

„O! Wielka Matko Boga-człowieka i Panno Najświętsza! Ja Jan Kazimierz, z łaski syna Twego, króla królów i Pana mojego, i z łaski Twojej król, upadłszy do najświętszych stóp Twoich: Ciebie za patronkę moją i królowę państwa mojego dziś obieram; mnie samego i królestwo polskie, księstwa litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie i czernichowskie, wojska obu narodów i lud cały Twojej szczególnie opiece i obronie poruczam. Twojej pomocy i litości w tak opłakanym i niebezpiecznym stanie królewstwa mojego przeciw nieprzyjaciołom najświętszego kościoła rzymskiego najpokorniej błagam, a Twojemi wielkiemi dobrodziejstwy przejęty, razem z narodem moim, nową i najgorętszą żądzę służenia Tobie ślubuję. Przyrzekam mojem, panów i ludu mojego imieniem, Tobie i synowi Twojemu panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, cześć i chwałę Twoją wszędzie w królestwie mojem z całą usilnością rozszerzać. Nadto przyrzekam i ślubuję, że kiedy za przeważnem wstawieniem się Twojem, a przez wielkie miłosierdzie syna Twego, otrzymam zwycięstwo nad nieprzyjaciołmi, szczególnie nad Szwedami, będę się starał u stolicy świętej apostolskiej, aby przez wszystkie czasy na podziękowanie Tobie i Twojemu synowi zawsze ten dzień był miany za święty i uroczysty. Dołożę starania z Biskupami moimi, ażeby to co przyrzekam spełnionem było od ludu mojego. Gdy z boleścią serca mego widzę, że za łzy i ucisk stanu włościańskiego zesłane są na królewstwo moje przez syna Twego, sprawiedliwego sędziego, od lat siedmiu kary, już to w morowem powietrzu, już to w wojnach i innych nieszczęściach, przyrzekam więc i ślubuję jak najrychlej po zawarciu pokoju obmyśleć ze wszystkiemi Stanami skuteczne środki dla odwrócenia tego nieszczęścia i uwolnienia ludu mego od wszelkich niesprawiedliwych ucisków. Spraw, o! Najlitościwsza Pani i królowo! aby jakoś natchnęła mię, panów koronnych i wszystkie stany do uczynienia tego ślubu, tak do uiszczenia się z niego racz uprosić łaskę Twojego syna — Amen! Amen!“

Zawistne losy nie dozwoliły jednakowoż Janowi Kazimierzowi spełnić jego szlachetnych zamiarów względem polepszenia doli ludu. Cztery lata srożyła się jeszcze wojna szwedzka, a król, ścigany przemiennem wojny powodzeniem, przenosząc się z jednego końca kraju na drugi, od Lwowa do Warszawy, od Częstochowy do Gdańska, nie mógł zająć się tem, co błogosławionego pokoju jedynie może być owocem. Gdy wreszcie traktat Oliwski położył koniec tej straszliwej wojnie, wnet po niej nastąpiła moskiewska, rozterki wewnętrzne, rokosz Lubomirskiego; wszystko to coraz bardziej zachwiewało potęgę Rzeczpospolitej, sączyło jad śmiertelny w jej polityczny organizm, tak że ów król prorok, jak niegdyś w r. 1656 dopatrzył trafnie właściwą przyczynę słabości Rzeczypospolitej w uszczupleniu wolności i praw obywatelskich ludu, tak też w sześć lat później, widząc coraz bardziej szerzącą się anarchję i samowolę magnatów i szlachty, mógł tym samym wieszczym duchem na sejmie r. 1661, gdy wszelkie starania o obiór za życia jego następcy tronu, a tem samem uchronienia Rzeczypospolitej od nieszczęść i intryg bezkrólewia okazywały się bezskutecznemi, wyrzec tę pamiętną, ciężkiemi klęskami brzemienną przepowiednię:

„*Utinam sim falsus vates!* Obym był fałszywym prorokiem, ale to pewna, że bez takiej elekcji przyjdzie Rzeczpospolita na rozszarpanie narodów obcych. I Moskal i Ruś przy swego języka krajach opowiedzą się i wielkie księstwa Litewskie sobie przeznaczą. Brandeburczykowi otwarta będzie po granice Wielkopolska i o Prusy że Szwedami albo się zgodzi, albo na swojem polu bić się o nie będzie. Dom rakuski, choćby miał najświętsze intencje, przy takiej szarpaninie od Krakowa także nie omieszka; bo każdy będzie wolał mieć część Polski orężem zdobytą, niż całą dawnemi wolnościami przeciw obcym monarchom zabezpieczoną.“

Sprawdziła się ciężka przepowiednia! Niepowstrzymanie dążyła Polska ku przepaści, nad którą ją postawiła ciemnota, zepsucie i swawola. Skołatany nieszczęściami Jan Kazimierz, doznawszy najboleśniejszego ciosu z śmiercią żony Marji Ludwiki, która w przeważnej części dźwigała trudy rządów państwa, złożył koronę w r. 1668 i wyjechał do Francji, gdzie w cztery lata później w r. 1772 umarł na wieść o zdobyciu Kamieńca Podolskiego przez Turków. Wiadomość ta nagłym, śmiertelnym ciosem przeszyła serce tułacza, nadewszystko miłującego swą ojczyznę.

Za dni dopiero naszych, we dwieście niemal lat po jego śmierci, zaczyna się spełniać słowo królewskiego ślubu. Na roli, krwią męczenników przesiąkłej, weszło ziarno wolności ludu. Usamowolniony w r. 1848 lud w Galicji przypuszczony został do używania wszstkich praw obywatelskich. Toż samo orzekł manifest rządu narodowego, w r. 1863, obejmujący przestrzeń wszystkich ziem polskich, a słowo wolności z rozkazu jego rozniosły Złote Hramoty po całej Rusi i Litwie, po Dniepr, po słupy Chrobrego.

W kościele św. Germana w stolicy Francji pomnik, umieszczony przy bocznej ścianie, zwraca uwagę każdego Polaka, kościół ten zwiedzającego. Na sarkofagu wykuta postać, na berle sparta, kamiennem okiem patrzy w stronę ojczystą, jakby nieustannie lepszej doli dla ukochanej wypatrując krainy. A nad iglicą wieży Marjackiej w Krakowie połyskuje złota korona w promieniach wschodzącego słońca, jako godło, rozciągającej się po wszystkie czasy nad nieszczęśliwą ziemią, obrony i opieki Najwyższej królowej Polski, Litwy i Rusi.

Wł. Zawadzki.

KRONIKA.

Z kraju.

(Od redakcyi). Zaledwie pierwszy zeszyt naszego pisma miał czas dostać się do rąk publiczności, znaleźli się już nieproszeni przyjaciele, którzy bardziej troszczą się naszem wydawnictwem i więcej wiedzą o niem, niż my sami. Pojawiły się już w słowie i w piśmie owe zagadkowe frazesy: „słychać“ „mówią“ — „dowiadujemy się“ i t. p., które bez naszej wiedzy chcą zamienić „Strzechę“ w pismo tygodniowe, przenoszą ją do innej drukarni, a nawet wysyłają razem z redakcyą aż do Cieszyna. Nie są nam tajnemi ani źródła ani cele tych pogłosek, i niezwracalibyśmy nawet uwagi na nie, gdyby znajomość nasza z publicznością była już więcej ustaloną. Ale uczyniwszy zaledwie krok wstępny niechcielibyśmy, ażeby nas niesłusznie posądzano o niestałość programu; i dla tego uważamy za rzecz potrzebną, upewnić szanownych czytelników naszych, że wszystkie te pogłoski są zupełnie bezzasadne, i że pismo nasze tak jak rozpoczętem zostało, i nadal podług tego samego programu wydawanem będzie.

(Nowe wydawnictwo). Nakładem księgarni F. H. Richtera we Lwowie zacznie wychodzić wkrótce Biblioteka narodowa, obejmująca kompletne dzieła najznakomitszych pisarzy polskich. Wydawnictwo to obliczone jest głównie na to, ażeby celujące utwory literatury naszej uczynić ile możności przystępnemi wszystkim klasom narodu, i dla tego będzie to wydanie o wiele tańsze, niż wszelkie inne dotąd, a nabycie jego łatwiejsze o tyle, że nie będzie wymaganą żadna przedpłata, lecz składać się będzie tylko cenę zeszytu przy odbieraniu jego. Bliższe szczegóły tego wydawnictwa ogłosi osobny program.

(Odczyty historyczne pana Schmitta) zgromadzają ciągle liczne grono słuchaczy, co jest najlepszym dowodem ich wartości. Bo też w istocie można z nich wiele korzystać; pan Schmitt ma wykład jasny i zajmujący, a rzecz sama — pominąwszy jej ważność dla nas — jest tak sumiennie i głęboko wystudyowana, że nawet obznajomieni bliżej z tą nieszczęsną epoką naszych dziejów rozbiorowych mogą z niej niemało się nauczyć. Dotąd było tych wykładów jedynaście, a wszystkie będą ogłoszone drukiem podług zapisków stenograficznych.

Nierównie mniejszy udział znachodzą od niejakiegoś czasu niedzielne odczyty popularne; publiczność, dla której właściwie są one przeznaczone, zobojętniała tak dalece, że ostatnie trzy odczyty odbyły się prawie przy pustej sali, chociaż przedmioty były właśnie bardzo pouczające dla klasy pracującej. Z przykrością zapisujemy to smutne spostrzeżenie, przekonujące nas niestety, że nie umiemy być w niczém wytrwałymi, chyba tylko w niedbałości o własne dobro.

(Pana Władysława Zawadzkiego), znanego zaszczytnie literata i spółpracownika naszego, mianowało — jak się dowiadujemy — Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu na posiedzeniu z 6. grudnia r. z. swoim członkiem korespondującym.

(Przy „Gazecie Lwowskiej“) zacznie od Nowego roku wychodzić znowu, zawieszony od kilku lat „Dodatek tygodniowy,“ poświęcony głównie statystyce, ekonomii politycznej i historyi krajowej, na który można się nawet osobno prenumerować. Zwracamy uwagę na to pismo, ponieważ dawniejsze roczniki jego, których po rok 1861 wydano dwanaście, zjednały sobie w uczonym świecie powszechne uznanie jako nader cenny materyał do historyi i statystyki naszego kraju. Żałować tylko potrzeba, że — jak się dowiadujemy — nakład tych roczników został już zupełnie wyczerpany, gdyż są one zawsze jeszcze wielce poszukiwane; i z tego też powodu pozwalamy sobie postawić wniosek, by Redakcja Gazety Lwowskiej przedsięwzięła drugi ich nakład, a przynajmniej najważniejszych ich artykułów, i to w formie książkowej, podobnie jak teraz Biblioteka polska w Paryżu wydaje swoje Roczniki. Nakład taki — zdaje nam się — wypłaciłby się z pewnością, a dla kraju i umiejętności byłaby to istotna przysługa.

(Artur Grottger †). Ziściła się niestety obawa nasza, wyrażona w pierszym zeszycie. Kraj i cały naród poniósł bardzo bolesną i niczem niepowetowaną stratę: Artur Grottger, uwielbiany nasz artysta, jenialny twórca „Warszawy“ — „Polonii“ — „Litwanii“ — „Wieczorów zimowych“ — zgasł przedwcześnie na obcej ziemi. Krótkim był zawód jego — ale wielką jest zasługą dla kraju; ciernistą była pielgrzymka jego doczesna — ale jej nagrodą jest nieśmiertelność! Niemożemy w tej chwili uczcić pamięci jego tak, jak na to zasłużył; uczynimy to poźniej w stosowniejszem miejscu; tu zaś dopełniamy tylko pobieżnie smutnego obowiązku kronikarza, rzucając tych kilka słów najszczerszego żalu, jakby grudkę ojczystej ziemi na trumnę kochanego artysty!

(O nagrodę wyznaczoną przez dyrekcję sceny polskiej we Lwowie) za najlepszy utwór dramatyczny ubiega się dwadzieścia siedm utworów tego rodzaju, a mianowicie: 1) Dramatów i obrazów dramatycznych szesnaście; z tych 7 wierszem a 9 prozą; 2) Trajedja jedna prozą; 3) Komedyj ośm, z tych 3 wier. a 5 prozą; 4) Krotochwila jedna wierszem i ze śpiewami; nakoniec 5) Operetka narodowa jedna. Najwięcej utworów dostarczył Kraków, bo aż 10; po nim Warszawa 7, Lwów 6; reszta nadeszła z różnych stron kraju. Ostateczne orzeczenie komisyi konkursowej nie nastąpi — jak się dowiadujemy — przed końcem lutego r. b.

(Na scenie naszej) przedstawione będą w ciągu tegorocznego kursu zimowego następujące nowości dramatyczne: *a)* oryginalne: „Za naszych czasów,“ kom. p. Dzikowskiego, „Stosunki rodzinne,“ komedya Witolda hr. Borkowskiego; „Niepoprawni“ dram. J. Słowackiego; „Stara panna“ obrazek charakter. Stan. hr. Kossowskiego; „On będzie moim“

komedya Kaź. Kaszewskiego: *b*) tłumaczone z francuskiego komedye: „Zasady pani Aubray“ — „Familia Benoitonów“ i „Nerwowi“.

Dyrekcja Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie podaje do wiadomości pp. artystów malarzy następujące punkta ze swego programu wystawy:

1) Wystawa obrazów rozpocznie się z dniem 15. lutego 1868 we Lwowie, w sali domu narodnego, która się odznacza obszernością i dobrem światłem.

2) Dyrekcja przyjmuje obrazy na wystawę już od połowy stycznia 1868, lecz najdalej do 15. marca 1868. Co do obrazów, któreby poźniej dopiero mogły być na wystawę przysłane, należy się wprzód listownie z dyrekcją porozumieć.

3) Do każdego przysłanego obrazu należy dołączyć kartkę z wymienieniem przedmiotu obrazu i jego ceny, tudzież adresu artysty i miejsca, gdzie obraz z wystawy ma być odesłany. Krótkie daty biograficzne pp. artystów bardzo są pożądane.

4) Niezamieszkali w miejscu właściciele obrazów mogą się znosić z dyrekcją za pośrednictwem przebywających we Lwowie pełnomocników, gdyby zwykłą drogę listową uważali za niedostateczną.

5) Dyrekcya będzie przestrzegać jak najściślej, ażeby żaden z wystawionych obrazów nie był jakimkolwiekbądź sposobem bez pozwolenia artysty lub właściciela odrobiony — nie da zaś miejsca na wystawie takiemu obrazowi, którego twórca tegoby sobie nie życzył.

6) Żadnego obrazu, nawet sprzedanego, nie można odbierać z wystawy przed zamknięciem tejże. W szczególnych wypadkach, gdzieby w skutek tego przepisu sprzedaż obrazu miała być uniemożliwioną, należy się porozumieć z dyrekcją.

7) Obrazy zakupione, lub takie, do których odesłania dyrekcja się nie zobowiązała, mają być najdalej w miesiąc po zamknięciu wystawy odebrane.

(Pan Chruzik) malarz artysta z Krakowa, wypracował kilkanaście albumowych dużych krajobrazów, które mają być bardzo piękne. Sprawozdawca „Dzien. Poznańskiego,“ który je oglądał, tak się o nich wyraża: „Przedmiot jest wzięty wiernie z natury z okolic Krakowa, obchodzących nas wyłącznie. Ruiny Czorsztyna, zamek ślicznie oddany, koloryt nieba przepyszny; wodospad przy Nawach, czarujący; z pod Łomnicy, niebo cudowne; okolica koło Popradu, artystycznie wykonana, urocze niebo, domek, drzewa składają obraz, od którego oczu oderwać nie można; jezioro Czorba, dolina Korcowa bardzo efektowne, świerk przepysznie wykończony; morskie oko czarujące, ten szałas, krajobraz światłem księżyca oblany wprawia widza w uniesienie; jezioro Felka, dolina Koprowa, są to artystycznie wykonane obrazy, warte umieszczenia w salonach.“

Gdy mowa o pejzażach, miło nam nadmienić przy tej sposobności, że da Bóg i nasz Lwów będzie mógł z czasem pochlubić się pięknym talentem w tym rodzaju sztuki malarskiej. W pracowni młodego p. Henryka Grabińskiego, Lwowianina, mieliśmy przyjemność oglądać kilka tak udatnych krajobrazów jego pędzla, że można śmiało rokować świetną przyszłość temu artyście, jeźli z równą pilnością i zamiłowaniem, jak dotąd, zechce pielęgnować dalej ten dar boży. Życzyć tylko wypada, ażeby młody artysta, który dotąd robił studja swoje na ziemi obcej, szukał dla siebie wzorów na ziemi ojczystej, na której dłoń natury równie hojnie jak i gdzieindziej rozlała swoje cuda i piękności.

(Wydawnictwa dla ludu.) W Poznaniu otwartą została świeżo księgarnia nakładowa pod firmą „Leitgeber i Waligórski.“ Głównym celem tego przedsiębiorstwa jest wydawnictwo i rozszerzanie na drodze handlowej tanich i pożytecznych dzieł dla ludu z dziedziny religii, nauk moralnych, historyi, poezyi, beletrystyki i nauk fachowych, z wyjątkiem dzieł polemicznej lub politycznej treści. Jest to założenie w istocie bardzo zacne i naśladowania godne, gdyż powinniśmy już raz dójść do tego przekonania, że bez oświaty ludu nie odbudujemy nigdy ojczyzny. O tem nie można nigdy mówić i pisać za wiele. Chcąc wznieść dom trwały, potrzeba mu dać mocne i zdrowe podwaliny, inaczej będzie to zawsze tylko domek z kart, który za lada podmuchem się rozsypie. Podwaliną narodu jest lud, starajmyż się o to usilnie i spólnemi siłami, aby ten lud poczuł się w narodzie i poznał drogi swoje. Dzięki Bogu — zaczynają już i u nas pojawiać się szlachetne usiłowania w tym względzie. Pan Alfred Młocki — aczkolwiek na bardzo skromną skalę — rozpoczął wydawnictwo tanich — groszowych książeczek dla ludu; jestto wprawdzie bardzo mało jeszcze, ale tu mierzy się uczynek chęcią, a zasługa wielka już dla samego pierwszeństwa. Pan Młocki zrobił szlachetny początek; do światłego obywatelstwa należy teraz, podeprzeć solidarnie ten zamiar, a raczej powiemy obowiązek, za ciężki na pojedyncze barki, i miejmy nadzieję, że ono uczyni to, pomne mądrych słów profesora Dietla, wyrzeczonych na sejmie, „że grosz wydany na oświatę ludu jestto pożyczka, która z lichwą oddana będzie.“ Podniosła też podobną myśl dość dawno już „Gazeta Narodowa“ z projektem zawiązania stowarzyszenia „Orła,“ ale dotąd niesłychać nic o urzeczywistnieniu tego projektu.

(Pismo z wonią narkotyczną). Wychodzący w Warszawie pod redakcyą pana Adama Wiślickiego „Przegląd tygodniowy“ zrobił po dwóch latach istnienia swego odkrycie, że — aby się utrzymać — „potrzebuje woni, co narkotycznie upaja,“ i dlatego zaczyna z Nowym rokiem drukować w kolumnach swoich w przekładzie pięciotomową powieść francuską Aurelego Scholla pod tyt.: „Najnowsze tajemnice Paryża“. Smutna to rzecz, jeźli dziennik polski sprowadza woń swoją aż z Paryża! Ale redakcja ta gustuje widocznie sama w perfumach zagranicznych, gdyż niedawno wydała w przekładzie dzieło angielskie Samuela Smilesa pod tyt.: „Pomoc własna“ (Self-Help), a teraz ogłosiła prospekt na zbiór tłumaczonych z niemieckiego popularnych prelekcyj i rozpraw pod tytułem: „Wiedza.“ Trzeba jednak przyznać, że wydawnictwo to ma swoją zasługę. Literatura nasza od jakiegoś czasu zanadto zasklepiła się sama w sobie; i zbyt mało zwracamy uwagi na umysłową pracę i duchowy rozwój innych narodów, które bógdaj czy nie zadaleko nas już odbiegły. Dlatego też wyświadcza nam przy-

sługę każdy, kto nas zapoznaje bliżej ze znakomitemi dziełami obcemi, a wspomnione dzieło Smilesa należy rzeczywiście do tego rzędu. Jestto zbiór krótkich, ale bardzo ciekawych i nauczających życiorysów najznakomitszych mężów we wszystkich zawodach życia, którzy własną tylko pracą i wytrwałością dobili się czci i sławy u świata. Tłumacz uzupełnił jeszcze to dzieło licznemi wzorami swojskiemi i podniósł tem znacznie wartość jego dla nas. Podobnież wnosząc z prospektu „Wiedzy“ można się spodziewać, że publikacja ta będzie nie mniej pożyteczną dla nas.

(Z nowości literackich) niewiele przyniosła nam Warszawa na kolędę. Komedya jednoaktowa Kaz. Kaszewskiego: „On będzie moim“; powieść J. Zacharjasiewicza: „Zakazane owoce“, i parę książeczek z obrazkami dla dzieci—oto prócz kalendarzów cały prawie plon księgarski z ostatnich dwóch miesięcy.

(W literaturze rosyjskiej) zaczynają pojawiać się teraz — jak piszą do „Dziennika Poznańskiego“ z Petersburga — pamiętniki i notaty historyczne niewątpliwej wartości i dla naszych dziejów. Tak teraz (są to słowa korespondenta) wyszła Monografia Ks. Włodzimirskiéj Tarakanowej, ciekawa co do szczegółów i nas interesujących. Poglądy i obrobienie stronnicze, wrzaski na intrygi szlachecko-jezuickie Radziwiłła, ale tu i ówdzie rzeczy ważne a dotąd nieznane, i odkrycia nowe dla umiejącego czytać, bo tu nic głośno swojego nie publikują et pour cause, ale półsłówkami i półgębkiem. — Pamiętniki Dzierżawina, ciekawe do panowania Katarzyny, Pawła i Aleksandra i do tryumwiratu, który wbrew starej szkole moskiewskiej zapanował nad umysłem młodego Aleksandra. O jednym z tych tryumwirów, ks. Adamie Czartoryskim, dużo tu rzeczy ważnych. — Monografia Błudowa (Graf Błudow i jego wremija), który się wywodzi ze szlachty polskiej Błudnickich herbu Topacz, jako jednego z wrogów naszych i z położenia swego jednego z najnamiętniejszych naszych prześladowców — nie mniej ważna dla nas i nauczająca. — Nareszcie tego samego Dostojewskiego, który wydał: Pamiętniki z domu umarłych, książkę, jakiej podobnej nie czytała Europa... jest studyum niezmiernego interesu pod tytułem: Środki karne (Miery nakazanija), w którém w okropnych szczegółach wykazuje całą dzikość i barbarzyństwo kar i tortur moskiewskich, zastósowanych do przestępstw społeczeńskich a najosobliwiej do tak zwanych zbrodni stanu.

Ze świata.

(Bonhomme Misère.) Mają wszystkie ludy swoje podanie o Nędzy, gdyż jest to powszechna plaga całego rodu ludzkiego, i każdy też lud utworzył już sobie wedle indywidualnych właściwości swoich odmienną alegoryczną jej postać. U Niemców mających pociąg do badań abstrakcyjnych, do filozofii, niema Nędza żadnego rodzaju (das Elend), jest czemś nieokreślonem i nieobjętem zmysłami, jak wszystkie istności (Wesen) ich świata metafizycznego. Pełne poetyczności i żywej fantazyi ludy sławiańskie wyobrażają sobie Nędzę w postaci strasznej niewiasty, której obraz skréślił tak pięknie Wł. Wojcicki w swoich „Zarysach domowych;“ a nakoniec praktyczny Francuz nadał jej już postać najrealniejszą, bo męzką, i nazwał ją w swojém podaniu ludowem „Bonhomme Misère“. Poznajmyż teraz to zajmujące i bez zaprzeczenia bardzo dowcipne podanie.

Pewnego dnia puścili się w podróż apostołowie Piotr i Paweł. W drodze zaskoczyła ich straszna burza, i wędrowcy święci przemoczeni do nitki, przybyli po długiem błąkaniu się do jakiejś nieznanej wioski. Szukając schronienia zapukali do drzwi bogatego włościanina; ale odprawiono ich z fukiem. Jakaś wieśniaczka zaprowazdziła ich do chaty, w której mieszkał Bonhomme Misère. Byłto chudzina biedny nad wyraz, ale czem mógł — dachem, słomą i chlebem podzielił się chętnie z gośćmi. Jedyny majątek jego stanowiła oprócz chaty grusza, której owoc głównie go żywił, a właśnie tego dnia skradł mu zły sąsiad najpiękniejsze z niej gruszki. — „Gdybym mógł prosić Pana Boga o jaką łaskę — rzekł do Świętych — to prosiłbym o to tylko, ażeby każdy — kto wlezie na moją gruszę, nie mógł zleść z niej tak długo, dopokądbym mu nie pozwolił.“— Święci wstawili się za nim, i prośba jego została wysłuchaną. Wkrótce zakradł się sąsiad znowu na gruszę i jakby przyrósł do niej. Bonhomme nadrwił z niego do woli i chciał go w końcu wychłostać; ale zmiękczony prośbami złoczyńcy puścił go wreszcie, nie odbierając mu nawet narwanych gruszek. Wieść o tem odstraszyła naturalnie na zawsze wszystkich miłośników jego gruszek. Lata mijały; Misère postarzał się, i pewnego wieczora stanęła przed nim śmierć z swoją kosą. — „Musisz iść ze mną„ — rzekła. — „Jestem gotów — odpowiada Misère — ale pozwól mi jeszcze zjeść choć jedną gruszkę z mego drzewa.“ — Śmierć była właśnie w dobrem usposobieniu, rzecze więc: „Mniejsza o to; przynieś sobie gruszkę“.— „Ach jam już za słaby na to; owoc wysoko, potrzeba leźć na drzewo; gdybyś mi wyświadczyła tę ostatnią przysługę!“ — Śmierć nie przeczuwając nic włazi na drzewo — i ani rusz zleść napowrót; zżyma się, klnie, grozi — wszystko napróżno. Dopiero gdy uroczyście przyrzekła, że go zabierze aż w dzień sądu ostatecznego, uwolnił ją Misère, który żyje teraz spokojnie i żyć będzie zawsze na ziemi aż do skończenia świata. Jakaż głęboka mądrość w tem podaniu!

(Szkodliwy wpływ welumów). Zwyczaj noszenia welumów, czyli tak zwanych dziś pospolicie welonów (zasłon twarzy) datuje się jak wiadomo jeszcze z czasów pogańskich i głównie od ludów wschodnich, u których kobietę uważano za niewolnicę, za własność męża, i zmuszano zakrywać twarz swoją przed obcym wzrokiem. Chrześciaństwo i cywilizacya uwolniły niewiastę z tych pęt barbarzyńskich, ubliżających ludzkości, i postawiły ją na równi z drugą połową rodzaju ludzkiego; ba — z czasem przyszło aż do tego, że nastał stosunek odwrotny, który nawet jednego z poetów stanisławowskich natchnął do sławnego epigramu, wypowiadającego bez ogródki, że

Mimo wszelkie naszej wielkości zalety,
My rządzimy światem, a nami kobiety.

Tak jest — piękne panie, wy i dziś jeszcze (powiedziałbym niestety, ale boję się!) rządzicie nami i światem; mąż, ów dumny niegdyś pan świata, ugina przed wami kolana jak przed bóstwem; a mimo to wszystko wy do dziś dnia jeszcze zasłaniacie przed nami lica wasze, jak gdybyście chciały tem mścić się na nas ciągle za winę nie naszą. Dotąd jest welum niezbędną prawie cząstką waszej garderoby; ale chociaż używanie jego bywa korzystnem niekiedy, to wierzajcie nam, że te korzyści po największej części wcale są niepochlebne dla was, a już zupełnie nikną w porównaniu ze szkodliwemi wpływami, jakie wywiera ten zwyczaj na zdrowie wasze. Rozpatrzmy się tylko dokładnie tak w korzyściach tych jak i szkodach, a same przyznacie nam słuszność. Na cóż przydać się mogą welumy? Oto łagodzą widok brzydoty (uprzedzamy jednak, że to zdanie nie nasze, lecz pewnego starego medyka, który wyczytał w jakiejś odwiecznej księdze, że są i brzydkie kobiety na świecie); zakrywają ślady namiętności, zasłaniają przed obojętnem okiem drgające od wewnętrznego bolu oblicze (wszystko to są słowa tego eskulapa), a tylko w czasie zimna lub słotnego powietrza są praktyczną ochroną piękności. Właściwie więc tylko w tym ostatnim przypadku jest rzeczywista korzyść dodatna; a jakże licznemi są natomiast szkodliwe skutki noszenia welumów! Oto co pisze o tem wspomniony medyk: „Nie radzimy żadnej piękności zasłaniać twarzy w czasie pogody ani też używać zasłony codziennie, ponieważ przeszkadza to zbawiennemu stykaniu się skóry z powietrzem, przez co miękczeją muszkuły twarzy i piękność więdnieje przed czasem, a pomijamy już to, że ustawiczne wciąganie napowrót zużytego już powietrza wcale się nie przyczynia do zdrowia. Ale bardziej jeszcze szkodliwemi są używane od niejakiegoś czasu owe krótkie, najdalej do brody sięgające welumy. Małe te bowiem, wcale nieładne, a nawet szpecące firaneczki sprawiają ten szkodliwy skutek, że poruszając się ustawicznie i nieregularnie łamią ciągle wpadające w oko promienie światła, wywołują natężenie wzroku i osłabiają nerwy oczne. Trudno, i prawie niepodobna widzieć przez zasłonę dokładnie jakiś przedmiot, o co jednak oko ciągle się kusi i tak nieświadomie samo się niszczy. Ztąd też możemy z pewnością powiedzieć, że używanie welumów jest po największej części przyczyną tak krótkości wzroku jak i rozlicznych słabości oczu u kobiet. Kto się chce przekonać o tem, niech tylko na chwilę osłoni sobie oczy welumem, a potem przystąpi do jakiej pracy. Ale niestety niewolniczki mody nie zastanawiają się nad tem wcale, a przyczyny i skutki są w takich rzeczach zanadto odległe od siebie, by same wpadały w oczy. Gdyby mniej było prawdy w tem, to wspomniony przyczepek dzisiejszej toalety damskiej znikałby coraz więcej, i niejedna kobieta w starszym wieku nie potrzebowałaby się żalić na osłabienie wzroku.“ I cóż wy na to powiecie piękne czytelniczki?

(C a n o v a) znakomity rzeźbiarz włoski, w młodości swojej pracował jako mularczyk w pałacu familii Falieri. Pewnego razu urządzano tam niespodzianie wspaniałą ucztę; kucharz dworski nieprzygotowany, przypomniawszy sobie, że brakuje mu środkowej zastawy do wetów, wpadł w rozpacz gorzko się żaląc przed księciem. Ale nikt nie umiał mu poradzić, a czasu pozostawało zaledwie pół godziny. „Gdyby tylko mnie posłuchano“ — odezwał się nieśmiało głos jakiś — „znalazłbym może na to sposób.“ Wszyscy zwracają się ku małemu Canovie, który zaglądając ciekawie do kuchni posłyszał skargi kucharza, i zaraz ofiarował się wyprowadzić go z kłopotu. Książę, pan zamku, któremu podobała się otwarta i wyrazista twarz młodego chłopca, zezwolił na jego żądanie. Czas podania wetów nadchodzi, i ciekawość gości, uwiadomionych o wszystkiem przez księcia, dosięga najwyższego stopnia. Nakoniec przynoszą zasłonięty półmisek i stawiają go przed gospodarzem. Zdejmują serwetę — i słychać zewsząd okrzyk podziwienia na widok prześlicznego lwa, uformowanego z masła.

„Brawo, brawo!“ — zawołano naokoło stołu — „gdzie jest mularczyk?“ „Gdzie jest artysta!“ woła książę. Za otyłym kuchmistrzem spostrzeżono ładnego małego Antonia, pomieszanego i czerwonego, ale spoglądającego nie bez pewnej dumy artystycznej. Taki był początek nieśmiertelnego zawodu Canowy. Książę zajął się nim od tej chwili i odwiózł go do Wenecyi, gdzie kazał go kształcić u pierwszorzędnych mistrzów.

Niemniej szczególnym był początek artystycznego zawodu sławnego na całą Europę karykaturzysty polskiego, A l e s k a n d r a O r ł o w s k i e g o. Urodził on się w 1777 r. w Siedlcach, gdzie ojciec jego utrzymywał dom zajezdny. Zdarzyło się, iż księżna Czartoryska w przejeździe do ks. Ogińskiej właścicielki Siedlec, w oberży podmiejskiej spoczęła, i wtedy mały chłopczyk, syn gospodarza oberży, zasmolony i zabrukany zwrócił uwagę dostojniczki. Zabrukanie chłopczyny pochodziło ztąd, iż rodzice nastarczyć mu nie mogli sukienek, walał się bowiem węglami, które były dla niego wówczas jedynemi narzędziami rysunkowemi. Wszystkie białe ściany domu pełne były jego rysunkowych utworów, w których przebijał się spryt odtwarzania zarysów z natury uchwyconych, za co się ojciec nie mało na niego gniewał. Księżna obejrzawszy dzieła improwizowanego artysty zawyrokowała, że jest w nim zdolność, a że dawni panowie lubili i uważali za obowiązek protegować zdolności, więc księżna postanowiła wziąść w opiekę młodego Orłowskiego. Rodzice, lubo niechętnie rozstawali się ze swoim swawolnikiem, przecież taka była powaga księżnej, iż nie śmieli jej w niczem się sprzeciwić. Aleksander kosztem tej pani umieszczony został w Warszawie w pracowni malarza Norblina, wcale zdolnego pejzażysty. Młody jednak Orłowski odznaczał się wesołem usposobieniem, wcale niekwadrującym ze spokojem Norblinowskiej pracowni. Tysiączne figle, którym zawsze przewodniczył, wykazały już wcześnie główną żyłkę jego charakteru, oraz zdolność do karykaturowania, czyli chwytania wszystkiego ze śmiesznej strony. Poduczony cokolwiek Orłowski, w 1794 r. zamienił ołówek na pałasz, a ta okoliczność ułatwiająca mu dokładne zapoznanie się z obozowem żołnierskiem życiem, stała się potem źródłem niewyczerpanych dla niego szkiców, z których tryska istotna zdolność. Powróciwszy z wyprawy znowu udał się do Norblina, ale figle, które przebaczał szanowny malarz chłopięciu, nie uchodziły płazem młodemu wojakowi artyście. Wkrótce więc sprzeczka a potem kłótnia rozdzieliły ucznia z mistrzem, a zarazem ściągnęły dla pierwszego fatalne skutki, pozbawiając go opieki i zasiłków od

możnych protektorów, na których ówczesny byt artystów się opierał. Pogniewany więc z tym światem powziął dziwaczną myśl zostania skoczkiem. Jakoż wszedł do bawiącej wówczas w Warszawie grupy Chiariniego.

Z tej epoki posiadamy przepyszny jego szkic wyobrażający pochód kawalkady, w której siebie skarykaturował jako siedzącego na koniu z wielkim bębnem i przywołującego ludzi na sztuki łamane. Wkrótce jednak Orłowski zrozumiał, że nie tu jest pole dla jego talentu, powrócił więc do swoich rysunków, do swych szkiców ołówkowych i genialnych karykatur. Wesołość i dowcip towarzyszyły mu ciągle, a swobodne życie ulatwiało pracę. Rysunki jego rozchwytywano w lot, a towarzystwo warszawskie dostarczało mu ciągłego materyału. Nie było głośniejszej osobistości, wybitniejszego wypadku publicznego, ploteczki, którejby nie ośmieszył swym pełnym satyry ołówkiem. Ale żołnierskie szkice, karykatury żydów i chłopów, udawały mu się najlepiej i pozostaną koroną jego artystycznej działalności. Po kilkunastu latach pobytu w Warszawie udał się do Petersburga, gdzie talent jego wysoko oceniono, gdyż akademia przyjęła go w grono swych członków, a prace z rąk do rąk sobie wyrywano. Najwięcej jednak ołówkowe jego szkice cenione są w Anglii, gdzie ten rodzaj karykatur najlepiej odwiada usposobieniom zbieraczów. Umarł Orłowski w Petersburgu 1832 r. (Wyjątki z dzieła: „Pomoc własna".)

(Arcykapłan kościoła abysińskiego). Głowa kościoła w królestwie Abysynii (w Afryce) — którego mieszkańcy są z imienia chrześcianami, ale zachowują jeszcze wiele obrzędów pogańskich — nosi tytuł: Abuna (ojciec), ma godność arcybiskupa i otrzymuje konsekracyę od patryarchy w Aleksandryi. Duchowna władza jego jest wielką i opiera się na ustawach, pochodzących z trzynastego jeszcze wieku. Za wyświęcenie Abuny musi rząd abysiński składać patryarsze w darze 7000 talarów koronnych. Z rodziną jednak panującego dziś króla czyli Negusa Teodora zostaje ten arcykapłan w nienajlepszych stosunkach. Jak opowiada sławny turysta Wilhelm Lejean, wyraziła się pewnego razu dumna córka Teodora, księżniczka Menene, temi słowy o teraźniejszym Abunie: „Ten niewolnik, kupiony za nasze pieniądze, zaczyna sobie za nadto rozbierać." Dowiedziawszy się o tém Abuna odpowiedział: „Prawda, żem niewolnik, ale bardzo kosztowny; wszakże zapłacono za mnie 7000 talarów! Z księżniczką Menene ma się rzecz wcale inaczej; gdyby ją wyprowadzono na targ w Wochne, nie dałby nikt za nię i 10 talarów." A trzeba wiedzieć, że na tej targowicy bywają sprzedawane najgorsze muły.

Teraźniejszy Abuna, imieniem Salama (jako biskup zwie on się Frumencyusz) liczy do 50 lat wieku. Stanowisko jego w obec Negusa Teodora jest szczególniejszego rodzaju; obadwaj śledzą się nawzajem, stawiają sobie przeszkody we wszystkiem, nienawidzą się i boją wzajemnie, a na pozór udają wielką przyjaźń. Częstokroć nieczyni król wielkiego korowodu z pasterzem dusz, lecz poprostu zamyka go w twierdzy i okuwa w kajdany. Wtedy musi służba dworska podawać mu jedzenie na klęczkach i całować jego nogi. Na króla nie wywiera Abuna żadnego wpływu. Gdy raz oburzony do najwyższego stopnia zagroził klątwą Teodorowi, kazał tenże wystawić budę z suchych gałęzi i oświadczył, że spali w niej arcybiskupa; Abuna jednak niemiał wcale ochoty zostać męczennikiem i odwołał klątwę.

Podobny przypadek wydarzył się także samemu patryarsze. Wkrótce po objęciu władzy przez Teodora przybył do Abysynii patryarcha aleksandryjski, Dawid, z polecenia wice-króla egipskiego, i począł przybierać postawę bardzo dumną niby pan i władzca. Teodor z swojej strony drwił i szydził z niego otwarcie, czem oburzony patryarcha rzucił osobiście klątwę na niego. Teodor wysłuchał go całkiem spokojnie; ale w końcu wyciągnął z za pasa nabity pistolet, przyłożył go patryarsze do piersi i rzekł z największą łagodnością: „Przewielebny ojcze, udziel mi twego błogosławieństwa." Patryarcha padł na kolana, a po chwili powstawszy błogosławił go drżącemi rękoma. Można sobie wyobrazić, jak szczerem było to błogosławieństwo.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1867.

Seifman. Sprawozdanie z kongresu weterynarzy. Warszawa 1867.
Encyklopedya powszechna. Warszawa 1867.
Struve. O istnieniu duszy. Warszawa 1867.
Leja. Kolenda dla dzieci. Warszawa 1867.
Duruy. Historja rzymska. Warszawa 1867.
Sala. Geschichte des polnischen Aufstandes 1846. Wien 1867.
Statuta banku hipotecznego. Lwów 1867.
Ustawy krajowe II (Wild). Lwów 1867.
Zieleniewski. Pięć obrazów z Krynicy. Kraków 1867.
Zieleniewski. Pamiątka z Krynicy. Kraków 1867.
Przewodnik po Paryżu. Warszawa 1867.
Swierszcz B. Proza polska 1867. Broszura.
Monografia Opactwa w Mogile. Kraków 1867.
Hofman. Historja reform w Polsce. Lipsk 1867.
Schnajder. O wyrobach glinianych. Lwów 1867.
Dwa posiedzenia sejmu galicyjskiego. Lwów 1867. (Brosz.)
Zieliński. Kirgiz. Lwów 1867. Wyd. Igla.
Smiles. Pomoc własna. Warszawa 1867.
Prawdziwa historya Ant. Kostura (Starkel) Warszawa 1867.
Lenartowicz. Branka. Poznań 1867.
Wojciechowski. Powieści dla ludu. Rzeszów 1867.
Nowicki. Sprawa ochrony zwiérząt. Kraków 1867.
Gumplowicz. Ośm listów z Wiednia. Kraków 1867.
Essenwein. Kunstdenkmale der Stadt Krakau. Nürnberg 1867.
Statut Towarzystwa młodzieży kupieckiej. Lwów 1867.
Wolański. Środek przeciw wściekliźnie. Lwów 1867.
List św. Pawła do Rzymian. Londyn 1867.
Przewodnik paryzki. Paryż 1867.
Schmitt. Dzieje XVIII i XIX wieku III, t. Kraków 1867. (Wyd. Trzec.)
Łoziński Wład. Pierwsi Galicjanie. Lwów 1867.
Z powodu listów otwartych Ziemiałkowskiego i Szujskiego. Lwów 1867 brosz.
Czepieliński. Słownik polsko-rossyjski. Warszawa 1867.
Statut Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie 1867.
Urbański Wojciech. Fizyka umiejętna 2 tomy. Warszawa 1867.
Urbański Wojciech. Zasady fizyki. Warszawa 1867.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny: Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.